MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VIII. Nr 10 WARSZAWA, 1 KWIETNIA 1928 R. CENA NUMERU 1 zł.

PRAWO PUSTKI

Natura horret vacuum

Co KILKA lat stajemy przed urną wyborczą do krótkiego egzaminu politycznego. Zapytują nas, cobyśmy dla siebie woleli: państwo narodowe czy narodowościowe, typ cywilizacji zachodnio-łaciński czy wschodnio-bizantyjski, ewolucyjność rozwoju czy radykalizm rewolucyjny, pogląd na życie katolicki czy wolnomyślny i t. p. Było trzydzieści kilka pudełek, w które rzucano odpowiedzi, najwięcej wpadło do oznaczonego jedynką, tam bowiem odpowiadać można było na wszystkie te pytania zebrane razem. Między ulotkami agitacyjnemi podczas tych wyborów była jedna orjentacyjna tej treści: kto chce, żeby w Polsce było tak a tak, niech głosuje na numer x, kto chce znów tego, niech głosuje na y, a wreszcie — kto nie wie, czego chce, niech głosuje na jedynkę. Skutek był niespodziany. Jakaś niewiasta, przeczytawszy ulotkę, wyznała dobrodusznie: ja właśnie nie wiem, czego chcę, więc będę głosowała na jedynkę. Takich skromnych ludzi jest mało, przeważnie ludziom się zdawało, że wiedzą, czego chcą, a jednak zdali egzamin — na „jedynkę".

Żeby zdać dobrze jakikolwiek egzamin polityczny, nie trzeba wiele wiedzieć w znaczeniu szkolnem; trzeba mieć charakter obywatelski. Ten zaś zależy od kultury uczuć społecznych, wiodącej do posiadania zasad i przekonań. U nas w Polsce, budowanej w duchu cywilizacji łacińskiej, potrzeba być trochę rzymianinem, którego męskość charakteru polegała na tem, że umiał myśleć o całości zbiorowej, nie tylko o sobie, powodował się w postępowaniu interesem ogólnym, nie zaś tylko swoim materjalnym, jak tego nas uczą dzisiaj ci, którzy chcą społeczeństwo nasze rozłożyć na atomy.

Egzaminu obywatelskiego nawet tak mechanicznego, jak wybory, nie zda nigdy dobrze człowiek pusty. Pustką nazywam wydrążenie z człowieka ducha publicznego, gdy sam zostaje ze swoją psychiką, nie wiele się wtedy różniącą od zwierzęcej. Zorganizowanie ducha publicznego z jednostkową psychiką w jedną całość wytwarza c h a r a k t e r. Choćbyśmy rozważali charakter tylko pod kątem logiki postępowania, czy też etyki elementarnej, zawsze w nim będzie ten pierwiastek, który określa s t o s u n e k człowieka do życia całości zbiorowej. Charakter jest stylem człowieka— we wszystkich jego próbach życiowych prywatnych czy publicznych. Praca cywilizacyjna w łonie społeczeństwa sprawia to, że charakter jednostek udziela się całemu narodowi jako styl.

Szczególną uwagę na tę okoliczność zwracać powinni ludzie przodujący w czasach takich, jak nasze, kiedy po odzyskaniu wolności i sklejeniu się dzielnic w całość, charakter narodu nie jest jeszcze wyklarowany. Przez półtora wieku styl nasz był niszczony po zaborach na rozmaite sposoby, a największą próbę przechodzi wskutek zastosowania do budowy społecznej modelu człowieka mechanicznego, międzynarodowego, uniwersalnego, gardzącego stylem narodowym, w ideałach swoich materjalistycznych obcego potrzebom cywilizacji duchowej. Potrzeba w takiej dobie wielkiego wysiłku myśli twórczej, aby ciągłość dziejów utrzymać i Polski nie wykoleić. Z tej to świadomości dziejowej zdajemy egzamin.

Wielu czynnikom na szerokim świecie, coraz precyzyjniej organizującym się w celu odebrania cywilizacjom narodowym suwerenności, zależy na tem, aby w Polsce było jaknajwięcej ludzi pustych, nie wiedzących czego chcą, pozbawionych charakteru i stylu narodowego. Jeden tylko styl należy do wybranych, jako nadający się do uniwersalności, styl narodowy żydowski. Ten-ci jest naród wybrany, na wszystkie inne pada terror doktryn i praktyk. Na razie tolerowane

są, bo potrzebne do wyniszczenia bardziej uduchownionych, kraje cywilizacji protestanckiej. Ale i na nie przyjdzie kolej, jak tego się obawia Ludendorff, którego broszurę streściliśmy w zeszycie poprzednim „Myśli Narodowej". W naszych czasach rozstrzygają się losy cywilizacji europejskiej, która swoje panowanie zawdzięczała pracy twórczej narodów, gdy te dobywały tę pracę z jednostek tak pełnych charakterem, jak pełną, organiczną i samostarczalną miała być cywilizacja narodu. Czy rozumiemy ważenie się tego losu? Z tego zdajemy egzamin.

Naród styka się z jednostką nie przez państwowość jedynie, lecz przez swoją cywilizację, która obejmuje jednostkę ze wszystkich stron. Ona to wyprodukowała jednostkę, nieraz na swoją zgryzotę, to jej— tej cywilizacji — zawdzięcza człowiek swoją istność duchową. Owa cywilizacja domaga się myśli ogólnej, uświadomień na każdym etapie historycznym, współdziałania wszystkich. A nieobliczone są możności służenia jej swemi siłami. Gdy wszyscy spełniają swój obowiązek — każdy na swojem miejscu — i ta cywilizacja jest w pełni rozwoju, to i najważniejsza jej funkcja, państwo, też jest zdrowa. Kto rozumie, co to jest cywilizacja narodowa, że bez niej jest się niczem, a w jej służbie — potęgą, że samodzielna, dająca jednostkom pełnię rozwoju cywilizacja jest właściwą misją dziejową narodu, oraz jedynem zadowoleniem dumy rodzaju ludzkiego, ten i pod względem ściśle politycznym będzie mądry a odpowiedzialny. Będzie wiedział, co narodowi grozi a co sprzyja. Ten zda egzamin.

Czytelnik musi wybaczyć przydługi wywód. Jeśli chodzi o westchnienie nad dolą Ojczyzny, można to zrobić krócej, jeśli — o zrozumienie tej doli, trzeba rozplątać rzecz bardzo złożoną. Otóż dążę do tego, że cywilizacje zachodnie typu rzymskiej obliczone są w swojej budowie na masyw duchowy jednostki. Obywatel (*civis*) to człowiek wyrobiony przez cywilizację narodową i w nią wrobiony, to człowiek, który dźwiga i z siebie wysnuwa myślące życie całości. Nie może być pusty. To indywidualność twórcza, zdolna do rządzenia się w zbiorowości, to siła c z y n n a.

Inaczej rzecz się ma z typem wschodnim, który musi być rządzony, bo nie ma wnętrza zarobionego sprawą pospólną, jest bierny i tę bierność sobie ceniąc, ma pogląd na swój stosunek do ustroju społeczeństwa raczej sadystyczny, niż twórczy. Lubi, gdy kości trzeszczą i przed batem tarza się w prochu. Istnieją też odmiany, jak niemiecka, świadomie robiące cywilizację, jako produkcję, widzące siłę w swojej stadności, jej nakazowi poddane, które jednak nie produkują jednej rzeczy — kultury indywidualnej, jako wartości niezależnej od zastosowania do produkcji. Istnieje też taka odmiana cywilizacji, z naszą się stykająca, jak żydowska, nie wrastająca w ziemię, ageograficzna, błędna, zakładająca istnienie metodami jemioły, na koronach cudzych drzew, cywilizacja, w której ręku wszystko, co jest organiczne, zamiera.

Nie chodzi mi teraz o kwestję czystości rasy, lecz o stwierdzenie, że mamy w sobie wiele pustki wskutek własnego niedorozwoju społecznego i wskutek nadmiaru obcych przymieszek, ustosunkowanych do cywilizacji polskiej obojętnie lub wrogo. Sprawa robi się dziejowo tragiczną z tego względu, że nie jesteśmy ze swoją ojcowizną samotni, należymy do systemu ciał narodowych i ulegamy prawu ciążenia międzynarodowego. Pozostajemy jakby w prasie — między siłami obcemi, które bądź szukają ekspansji, bądź w sposób naturalny działają rozkładowo wskutek pustki, jaką mają u siebie.

Całe nasze dzieje wypełnione są świadectwami, że od zachodu prze nas jakaś siła na wschód. Trzeba wielkiej przytomności, ciągłego na to parcie baczenia i oporu przez silne wparcie się nogami w ziemię, aby ten nacisk wytrzymać. Ale nie jest to działanie tylko mechaniczne masy ciężkiej zzewnątrz. Ciążenie międzynarodowe wyraża się także przez p e n e t r a c j ę fizyczną, a zwłaszcza psychiczną. I ta jest najgroźniejsza. Bo wtedy staje się fakt, że cudza myśl polityczna udziela się nam do wykonania. Jest to bardzo bliskie prawu suggestji, a w psychice zbiorowej pochodzi stąd, że pustkę dusz wypełnia myśl cudza, przyjęta częstokroć bezwiednie za własną. Albowiem *natura horret vacuum.*

A wtedy dzieje się coś gorszego, niż parcie zewnętrzne, bo sami stajemy się wykonawcami woli obcej. Jeżeli w społeczeństwie istnieje wiele żywiołu przyjaznego tym wpływom, jeżeli te wpływy odpowiadają interesom materjalnym sfer i jednostek, których dusza jest pusta i obca troskom narodu, to wtedy — w pewnych warunkach — cały teren pracy narodowej może być wydany na eksploatację interesom obcym. Wystarczy pomoc ze strony organizacyj międzynarodowych, aby żywioły nienarodowe opanowały sytuację. Decydującą rolę odegrają wtedy obywatele niedociągnięci psychicznie do zadań gospodarza niepodległego państwa.

Znamy już z dziejów cząstkowe ulegania psychice obcej na polu nauki, literatury, sztuk pięknych, obyczajów, mody, kiedy świadomość nie mogła oprzeć się suggestji. Czy dziedzina myśli politycznej od tych niebezpieczeństw jest wolna? Zdawałoby się, że myślenie, gdy w grę wchodzi elementarny zmysł zachowawczy, nie może być inne, niż własne, a jednak przeżyliśmy już ciężkie lata, kiedy samowiedza narodowa nawet w sferach oświeconych, gdy chodziło o decyzję w sprawach niepodległości, chwiała się jak płomyk świecy od jakiegoś niewidzialnego podmuchu i zawodziła — i gasła.

Czy mogło być inaczej, gdy pokolenie, będące teraz w wieku senatorskim, życie swoje poświęcało hodowli ideałów międzynarodowych? Przecież dla niego pojęcie „naród" miało tylko tę cenę, że dzięki niemu mogło powstać pojęcie „międzynarodu". Tam zaś

gdzie w duszy było miejsce na psychikę narodową, wytworzyła się pustka.

Weźmy dla ilustracji przykład: Typ wybitny, utalentowany pisarz, pozycja szczytowa w społeczeństwie. Polak, wychowany w Rosji w atmosferze pustki duchowej i negacji, szukającej mechanicznych sposobów wywrócenia świata. Pod działaniem teoryj wywrotowych rosyjska uległość caratowi zamieniła się w żądzę zrzucenia go. Opanowany tą ideą, nią tylko w Polsce potem jest przejęty. Polska jest mu potrzebna tylko jako punkt operacyj przeciw caratowi (1905). Do głowy mu nawet nie przyjdzie, że można wziąć pod rozwagę całokształt sprawy polskiej dla niej samej. Niemcy i Austrja są jego naturalnymi sprzymierzeńcami, o ile idą na Rosję. Upływają tak lata. Nikt z bliskich nie może pracować spokojnie, tak ich alarmuje swoją radością, że w Rosji już — już zaczyna się rewolucja. Cała Polska wydaje mu się zacofanym, niegodnym uwagi zaściankiem, skoro nie podziela z nim jego nadziei i planów. Przychodzi wojna (1914), wielki dla Polski moment. Nasz pisarz nie miał czem poprostu myśleć o niej. Szczytem patrjotyzmu mogło mu się wydawać, że pójdzie z szablą pod komendą państw centralnych — zwalić carat... Gdy wreszcie przyszła ta oczekiwana chwila i car został zabity, (1918) wtedy nasz patrjota, znalazłszy się oko w oko z bolszewikami i z ich... wolnością, stanął wobec zjawiska z palcem w ustach. Nie umiał nawet, w pustce swego polskiego ducha, wyciągnąć z faktu tego jedynego wniosku, że całe życie gonił w piętkę.

Można mieć talent, można mieć wiedzę, ale gdy charakter nie nabierze treści narodowej, człowiek jest w rzeczach, tyczących dziejów, jak obłąkany. Jeżeli tego typu ludzie przy pomocy mechanicznych zabiegów biorą górę w kraju, to czego on po nich może się spodziewać? Byli zawsze w zatargu ze swym narodem, który dla nich był tylko terenem przechodnim i odskocznią do robót międzynarodowych. Dusza na te roboty otwarta, a wstydząca się brać za miarę rzeczy interesu własnego narodu (bo to stanowisko nacjonalistyczne) — nawet nie wie, kiedy staje się wykonawcą cudzej myśli politycznej kosztem swego kraju. Pustką stać nie można.

Typ według wzoru wyżej przytoczonego szuka w Polsce, coby zwalić, jaki autorytet; więc się bierze rewolucyjnie do idei suwerenności narodu. Walcząc z nacjonalizmem polskim, będzie marzył o tem, jakby wyzwolić z pod cywilizacji polskiej tereny o ludności mieszanej, ale nie spostrzeże, że używa do tych zagadnień klucza skrajnie nacjonalistycznego, budząc separatyzm w imię odrębności rasowej z pominięciem jedynie usprawiedliwionej w dziejach zasady gniazda cywilizacyjnego. Brak poczucia rzeczywistości społecznej jest cechą najistotniejszą umysłu wschodniego.

Interesująca byłaby mapka umysłowości polskiej, pokazująca barwami natężenie kultury narodowej aż do pustki białej. Mapka stawałaby się jasna ku wschodowi, mocno popstrzona koło Warszawy. Na to tło możnaby narzucić mapkę wyborów według wyników głosowania. Gdyby zaś pożółcić miejsca, gdzie wpływy żydowsko-niemieckie okazały się silne, toby „pustka“ była żółta.

Jakiż wniosek wyciągnąć z takiej mapy? Ten, że sprawa niepodległości nie kończy się na mechanicznem wytknięciu granic państwa. Strażnikiem niepodległości jest każdy obywatel. Każda dusza musi być warownią i posterunkiem czynnym. Staje się tem przez kulturę ducha narodowego. Jednostka z pustką jest złowroga, jak koń trojański, w którym się kryją niespodzianki.

ZYGMUNT WASILEWSKI

PRZEDWCZESNOŚĆ REGJONALIZMU

POCHWYCENIE właściwego momentu dla realizacji haseł i czynów jest jednym z zasadniczych problematów kulturalnych. Czas, ten olbrzymi, tajemniczy współtwórca cywilizacji, urzeczywistnia najśmielsze zamysły ludzkie lub karykaturuje i grzebie projekty nader pozytywne. Trzeba mieć wyczucie pomyślnej sytuacji, splotu warunków odpowiednich dla propagowania pewnej idei religijnej, artystycznej czy społecznej.

W Polsce zyskuje coraz więcej posłuchu i wyznawców modny prąd regjonalizmu, który u nas dobrze się przyjął na gruncie, uprawionym przez wieloletnie badania krajoznawcze i przez literaturę opisującą z niezwykłym talentem i urokiem rozmaite okolice ziem polskich. Od pięciu blisko lat dużo się mówi o regjonalizmie; wiadomo, że jego entuzjastą był Stefan Żeromski, dając temu wyraz w „Snobizmie i postępie“ a także w „Przepióreczce“[1]). Kilka ciekawych artykułów na ten temat ukazało się w „Przeglądzie Współczesnym“ w r. 1924, pisze się również wiele o regjonalizmie w dwutygodniku krajoznawczym „Ziemia“, wreszcie sprawa przeszła do gazet i niektórych broszur politycznych, a nawet dostała się obecnie do rozporządzenia władz o „regjonalizmie w województwach“. W czasie tej wędrówki idea regjonalistyczna trochę skoszlawiała, a przedewszystkiem nabawiła się choroby częściowego anachronizmu.

Istotną treścią nowego kierunku jest zasilanie, odświeżanie i poszerzanie ogólnej kultury narodowej dorobkiem życia prowincjonalnego i ludowego. Każdy regjon, powiat, niemal każdy zakątek kraju ma pewne właściwości przyrodnicze, osobne zwyczaje i obyczaje, ma jakiś zabytek historyczny częstokroć pełen artyzmu, legendy, klechdy, podania i pieśni, swoje przysłowia, w których zawarła się mądrość licznych pokoleń — orginalne formy i zwroty językowe.

Te wartości poszczególnych okolic stają się ożywczemi współczynnikami cywilizacji narodu, ale nie zawsze i nie wszędzie. Trzeba znać genezę regjonalizmu, by go móc właściwie stosować w praktyce. Nie wystarczy wiedzieć, że idea regjonalistyczna zrodziła się we Francji, powinno się pamiętać o warunkach

[1]) Pisał o tem A. Patkowski w art. „Ideologja regjonalna St. Ż.“ „Ziemia“. Styczeń 1926

jej powstania, o czem dziennikarze nasi często zapominają.

Otóż Francja jako państwo nawskroś zachodnio europejskie jest pod względem narodowym ogromnie zwarta i jednolita. Jakkolwiek poszczególne prowincje posiadają poczucie pewnej swoistości, jakkolwiek zdarza sie słyszeć: „*suis Bretond d'abord Français ensuite*", to przecież jest to tylko wyraz związku z tradycją historyczną z czasów królewskich a nie objaw separatyzmu lokalnego w stosunku do całości ojczyzny. Pod względem scementowania narodowego przewyższyła Francja inne państwa europejskie. Co więcej, od czasów wielkiej rewolucji panuje tam, jak wiadomo, system wybitnie centralistyczny, zarówno w administracji państwowej jak w polityce i wogóle w życiu społecznem. Indywidualność i siła atrakcyjna Paryża zaciążyła na typie rozwoju całego kraju; stolica jest jego sercem, mózgiem i skarbcem; wszystko, co ma aspiracje i ambicje, ściąga do Paryża. Na tem tle wybujałej centralizacji tłumaczy się zbawienna reakcja decentralistyczna, której głównym przejawem jast właśnie regjonalizm. Jego podłożem — fakt odczucia walorów wzruszeniowych i rzeczowych przyrody i cywilizacji prowincjonalnej, uznanie jej oryginalności, piękna i konkretnego pożytku za godne uwagi, pieczy i kochania.

Rozwój regjonalizmu pomnożył kulturę francuską o nowe dobra społeczne i narodowe; w dziedzinie sztuki dość wspomnieć Fryderyka Mistral'a, poetę z Mayaune w Prowancji, Maurycego Barrés'a i jego powieści lotaryńskie etc.[2]); głównie Prowancja ze swym własnym językiem i kultura ludową (ciekawe muzeum prowansalskie zwiedzałem w Tulonie) zabłysła w nowym ruchu. Rozkwit sentymentów i badań regjonalistycznych musiał z natury rzeczy i z logiki faktów pociągnąć rozbudzenie odrębności regjonalnych, ale przy spoistej strukturze narodowej jest to podporządkowane wspólnej świadomej solidarności ogólno — francuskiej.

Wcale inaczej rzecz się przedstawia w warunkach narodowych skomplikowanych. Zachodzi tu niemal pewność, że regjonalizm, zdrowy jako zasada, ulegnie wypaczeniu, stając się narzędziem dążności odśrodkowych. Są już na to powody. Po wojnie przyłączona do Francji Alzacja, mniej ściśle związana z macierzą, niż inne prowincje, tem samem nie nadaje się narazie do propagowania regjonalizmu. Wiadomo jakie trudności wyłoniły się ostatnio na tle separatyzmu alzackiego, który stał się podatnym gruntem do agitacji niemieckiej. Szkodliwość ideologji regjonalistycznej zaakcentował dobitnie w niedawnej mowie premjer Poincaré.

Polska znajduje się obecnie w położeniu nieco podobnem, jak Włochy po r. 1870. Odbudowana z kilku zaborów, dość mocno różniących się między sobą, musi przedewszystkiem dokonać wewnętrznego spojenia, unifikacji narodowo-kulturalnej. Nie jest to bynajmniej jednoznaczne z powierzchownym systemem centralistycznym. Zgadzamy się tu z trafnemi wywo- Stanisława Bukowieckiego, iż „Kraj nasz jest zbyt wielki na to, by mógł się zadowolić tylko centralnem ogniskiem życia, a gdyby tak było, to byłoby źle, gdyż świadczyłoby to o tego życia ubóstwie... Niezbędne są ogniska inicjatywy i kierownictwa rozrzucone po całym kraju, ale nie mogą niemi być dawne zabory..., gdyż (to)] uniemożliwiałoby ostateczne scalanie Polski." [3])

Pan Bukowiecki wysuwa słuszny postulat wytworzenia nowych „regjonów", nowych ośrodków bytu kulturalnego — i dodaje: „regjonalizm w Polsce jest, ze stanowiska przyszłości państwa, tendencją zupełnie uzasadnioną i... czas wielki, aby kierownicy życia społecznego przejęli się świadomością o konieczności jego realizacji".[4])

Wnioski p. Bukowieckiego byłyby przekonywające, gdyby Polska była państwem narodowo silnie scementowanem. Dziś tak jeszcze nie jest i dlatego realizacja haseł regjonalistycznych powinna być nader ostrożna, rozważna i narazie jedynie częściowa, fragmentaryczna. Sytuację naszą komplikuje nietylko istnienie mniejszości narodowych, o których p. B. dyskretnie milczy, ale także psychologja różnych grup Polaków na Kresach. Np. pewne elementy na Wileńszczyźnie, które odczuwają dość słabo i luźno związek z wartością wyższego rzędu, jaką jest solidarność ogólno-polska, szerzą tendencje regjonalistyczne a zarazem separatystyczne w prasie codziennej i w pięknym zresztą perjodyku „Źródło mocy".

P. Bukowiecki, pisząc swój artykuł przeszło trzy lata temu, nie docenił faktu, iż jeśli regjonalizm w Polsce centralnej i zachodniej powinien wydać owoce dorodne, to w zastosowaniu na terytorjach chociażby etnicznie polskich, ale o słabszej spoistości kulturalnej z macierzą, siłą logiki związków przyczynowych musi się wyrodzić w szkodliwą, separatystyczną „krajowość".

Trzeba zrozumieć jasno, iż bywają warunki w których regjonalizm musi współtworzyć z dążnościami polityki destrukcyjnej, wydając rezultaty ujemne dla rozwoju patrjotycznej wspólnoty i państwa i narodu.

Skoro propaganda regjonalizmu nawet na polskiej Wileńszczyźnie wydaje kwaśne owoce, to cóż mówić o województwach z przeważającą ludnością niepolską. Rzecz oczywista, kto z przekonania dąży do ustroju federacyjnego, do oparcia organizacji państwa na zasadzie autonomij terytorjalnych, ten postępuje konsekwentnie, propagując regjonalizm. Kto jednak nie uznaje koncepcji federacyjnej, nietylko ze względów rozumowych, ale dlatego, że ma wiarę, iż Polska w swojem położeniu geograficznem może istnieć jedynie jako państwo jednolite, silne i zwarte, a mimo to entuzjazmuje się regjonalizmem, ten przeczy sam sobie. Są jednostki, na szczęście odosobnione, które pragną nawet użyć idei regjonalistycznej jako metody — *mirabile dictu* — związania „mniejszości" z Polską, jako środka przeciwko ruchom narodowościowym. Wydaje się to po prostu paradoksalne. Jakim cudem regjonalizm, który gdzieindziej służy do rozluźniania węzłów zanadto ściśniętych, w Polsce ma zacieśniać spoidła zbyt luźne—doprawdy sekret wtajemniczonych! Np. Dr. Wacław Mejbaum proponuje taką solucję:

„Proces kulturalnego całkowania i jednoczenia przez państwo ludności zamieszkałej na jego obszarze musi się opierać na odrębnościach i mniejszościach etnicznych, równocześnie jednak tam, gdzie istnieją obce mu mniejszości historyczno-kulturalne, musi dążyć do ich likwidacji".[5])

Autor łudzi się przypuszczając, że można niszczyć tendencje separatyzmu politycznego, popierając

---

[2]) Interesujące szczegóły podaje A. Patkowski w art.: „Ideje przewodnie regjonalizmu". Przegląd Współczesny. Październik 1927.

[3]) Por. artykuł: „Dyslokacja terytorjalna życia społecznego". Przegląd współczesny. Październik 1924, s. 16.

[4]) j. w.

[5]) Por. broszurkę pt.: „Podstawy narodowego myślenia i narodowej polityki". Lwów 1926, s. 21.

i podniecając równocześnie odrębności ludowo-kulturalne. Rezultat, jak wskazuje doświadczenie, jest przeciwny i separatyzm wprost ze względów psychologicznych zawładnie i wyzyska wszelkie odrębności a przeszkodzić mu w tem jest prawie niepodobieństwem.[6]) Protegowanie już obecnie rozmaitych odrębności wśród Łemków czy Huculów, w okolicach Stanisławowa czy Kołomyji, Łucka czy Baranowicz nietylko nie przyczyni się do wzmocnienia spójni narodowo-państwowej, ale przeciwnie stanie się raczej narzędziem rozkładu. Tam, gdzie istnieją destrukcyjne, odśrodkowe dążności polityczne — niema miejsca na regjonalizm!

Nie można ożywiać cywilizacji polskiej pierwiastkami swoistemi ludów, których się jeszcze nie pozyskało, powiedzmy szczerze, dla wspólnej świadomości narodowo kulturalnej. Najpierw trzeba włożyć znaczną sumę energji polskiej w pracę organizacyjną, społeczno-oświatową i gospodarczą na ziemiach wschodnich tak, jak czyniła za czasów królewskich szlachta polska, a gdy to wyda pomyślne skutki narodowo wiążące, wtedy przyjdzie pora na pielęgnowanie rozmaitych odrębności, których w Polsce wschodniej jesł tyle i tak głębokich, że niema obawy, by zbyt szybko zanikły. Doświadczenia lat ostatnich powinny wykreślić właściwe granice zamierzeniom regjonalistycznym. O ile wewnątrz Polski można dziś z pożytkiem pracować nad wzmocnieniem cech swoistych osobnych Mazowsza, Lubelszczyzny, Kujaw, Podhala itd., to na ziemiach wschodnich są to usiłowania przedwczesne. Oczywiście konieczne jest dokładne poznanie województw wschodnich przez studja naukowe, zwłaszcza praktyczne, ale pochopne protegowanie i podkreślanie odrębności przyrodniczych i kulturalnych w prasie codziennej może pójść najłatwiej w służbę chimerycznych zapędów separatyzmu. Poczucie rzeczywistości nakazuje się z tem liczyć. Jeśli się nie chce wypaczyć pięknej i doniosłej idei regjonalizmu, to trzeba ją stosować na właściwem miejscu i we właściwym czasie.

Lwów MIECZYSŁAW PISZCZKOWSKI

W OBRONIE CZŁOWIEKA HARMONIJNEGO

„Il doit suffire a l'être suprêmement coordonné de se prescrire certaines modifications cachées et très simples au regard de la volonté et immediatement il passe de l'ordre des transformations purement formelles et des actes symboliques au regime de la connaissance imparfaite et dcs realités spontanées.“
Paul Valéry. Introduction à la méthode de Leonard de Vinci.

SPORY terminologiczne uważam za równie błahe, jak nudne. Chodzi tu zazwyczaj o tak zwane „ustalenie terminu“, co praktycznie sprowadza się do usiłowań powstrzymania procesu naturalnego wzrastania zakresu jakiegoś pojęcia, bądź do wprowadzenia nowego terminu, który zdaniem inicjatora lepiej swoją rolę spełnia, niż termin dotąd używany. Poza matematyką, to jest dziedziną, która nie daje żadnego pola do twórczości językowej (matematyka idealna obywałaby się samemi znakami), gdzie język spełnia rolę niejako woźnego, konwencje terminologiczne nie ostają się. I nic dziwnego. Nauka zastaje język w pewnem stadjum rozwoju i musi go przyjąć takim jakim jest, a udział jej w tworzeniu języka iść musi temi samemi drogami pokory i mozołu, co na wszystkich innych polach życia. Faktem jest, że dekretów terminologicznych nie słuchamy, że procesy głębsze i ważniejsze, niż wyroki uczonych, decydują o prawie słów do życia, lub ich zagładzie, że dekretomani i dekretofile więdną w swoich kapliczkach, mrucząc sobie wzajem wyznania w swej arcysubtelnej gwarze, która nikogo poza nimi nie obchodzi i na kolejny numer katalogowy w *panopticum* dziwactw ludzkich cierpliwie wyczekuje. Badania terminologiczne z jednej tylko strony są naprawdę interesujące, gdy punkt ich ciężkości przenieść na grunt historyczny: badanie rozwoju znaczeniowego jakiegoś terminu, jego wzrostu, zaniku, zboczeń, rozszczepień i t. p. jest istotnie zajmujące — jest to właściwy temat historji nauk. Szersze uświadomienie warstw inteligentnych społeczeństwa o wynikach takich badań powstrzymałoby zapędy naiwnego rewizjonizmu terminologicznego, którego jednem ze źródeł jest ahistoryczność; wiedzianoby jakie drogi torowało sobie słowo wśród nawałnicy życia i nie zadawanoby mu niedorzecznych pytań.

Badanie rozwoju znaczeniowego jakiegoś pojęcia, śledzenie zabarwienia uczuciowego, które w ciągu swej wędrówki przybiera, lub je porzuca — może doprowadzić nas niekiedy do wniosków bardzo rozległych i bardzo doniosłych. Sądzę, że przyjrzenie się ewolucji, którą w ostatnich dziesiątkach lat odbyło pojęcie „racjonalizm“ może być nielada przyczynkiem do poznania umysłowości, etyki i estetyki współczesnej. Poniższe rozważania w ogólnym tylko zarysie będą usiłowały sprawę tę przedstawić.

„Racjonalizm“ *stricto sensu*, oznacza pogląd epistemologiczny głoszący, że wiedza nasza (w pewnej przynajmniej części swej) zbudowana jest z pierwiastków czysto rozumowych, niezależnych od doświadczenia. Za przykład może tu służyć teorja Leibniza o prawdach koniecznych i faktycznych, w myśl której pewniki matematyczne np. oczywistość swą czerpią nie z doświadczenia, lecz ze swej bezpośredniej logicznej dowodności. Poza tym racjonalizmem epistemologicznym istnieje racjonalizm metafizyczny, to jest pogląd, że istota rzeczy jest natury myślowej. Reprezentantem walnym będzie tu Platon.

Znacznem poszerzeniem pojęcia „racjonalizm“ było rozciągnięcie go na dziedzinę teologiczną, gdzie oznacza ono pogląd, odrzucajacy Objawienie (ze strony objektu) a intuicję mistyczną (ze strony subjektu), pogląd, uznający w badaniach religjoznawczych te jedynie metody, które stosuje się w nauce. Tutaj więc racjonalizm nie jest już teorją epistemologiczną; w tem nowem znaczeniu nie wiąże się on nawet w sposób konieczny z racjonalizmem epistemologicznym: nie byłoby logicznej sprzeczności w jednoczesnem uznawaniu istnienia pierwiastków pozadoświadczalnych, rozumowych, naszej wiedzy i przyjęciu intuicji mistycznej jako źródła poznania religijnego. W tem nowem znaczeniu „rozum“ oznacza całość metod badania naukowego bez jakiejkolwiek oceny genetycznej samej

[6]) Dodajmy, iż niektórzy rusini nie zdają sobie jeszcze sprawy z tego, że propaganda regjonalizmu na wschodzie jest wodą na ich młyn; niedawno lwowskie „Diło“ oburzało się — może zresztą nieszczerze — na projekty regjonalistyczne.

władzy rozumu. Ze strony uczuciowej racjonalizm teologiczny wyraża się w poczuciu zaufania człowieka w swe siły, w pewnej twardej i zuchwałej opozycyjności wobec wszystkiego, co poza rzeczywistość ogólnemu dostępną badaniu wykracza, w pogardliwej niechęci do „zaświata".

Choć wybiegliśmy za daleko poza znaczenie pierwotne, jednak z racjonalizmem wiąże się wciąż jeszcze wartościowanie dodatnie — rozum tak czy inaczej pojęty wywyższa się nad inne władze psychiczne.

Inaczej przedstawia się sprawa z dzisiejszem potocznem pojmowaniem racjonalizmu.[1])

Kto w oczach pewnego (bardzo dziś rozpowszechnionego) typu pisarzy, publicystów, krytyków uchodzi za racjonalistę? Zamiast definicji dam przykłady. Racjonalistą nazywa się dziś, dajmy na to, krytyka literackiego, który analizując powieść, będzie zarzucał jej autorowi wprowadzenie sytuacyj nieprawdopodobnych, opierając ten zarzut na wywodzie tego mniej więcej typu: „Niepodobna przypuścić, aby ktoś, kto bezwzględnie ufa ukochanej kobiecie i jest człowiekiem normalnym — miał wierzyć złośliwym podszeptom swego rywala, usiłującego ją zniesławić". Powiedzą (i słusznie), że argumentacja ta niczego literalnie nie dowodzi, a na poparcie tego twierdzenia przytoczą taki mniej więcej dowód: „Jeśli powieściopisarz w rysunku charakteru swego bohatera nie posunął się poza narzucenie pewnych rysów ogólnych, które w mowie potocznej określamy takiemi wyrażeniami jak „człowiek normalny, kochający" i t. p. — to niemożliwa jest wogóle dyskusja na temat konsekwencji w budowie charakteru, bo samego charakteru niema; jeżeli zaś autor charakter bohatera swego należycie pogłębił, wówczas rozważania krytyka, przystępującego do analizy z grubociosaną argumentacją, operującą nic nie mówiącemi uogólnieniami, niczego odkryć ani do żadnych wniosków znaczących doprowadzić nie mogą— nie sposób przyrządzać preparaty mikroskopowe za pomocą tasaka". Inny przykład. Ktoś, zwalczający, dajmy na to pojedynki, proponuje wydanie surowej ustawy przeciwpojedynkowej. Zarzucą mu, że jest „racjonalistą". Dlbczego? Bo uważa, że wydanie ustawy może wykorzenić pewien sposób załatwiania sporów, wyrosły na gruncie tradycyjnego pojęcia o honorze, oparty o głębsze właściwości psychiczne środowisk społecznych, słowem związany z życiem społeczeństwa węzłami, których rozluźnienie nie może być dokonane mocą dekretu. I w pierwszym i drugim wypadku zarzut sprowadza się do przypisania krytykowi czy publicyście słabej orjentacji psychologicznej, skłonności do używania zniekształcających rzeczywistość uproszczeń, schematyzmu, braku talentu obserwacyjnego. Jednak nie mówi się o schematyzmie, braku intuicji psychologicznej i t. d. — lecz o „racjonalizmie". Słowem na karb racjonalizmu położyło się wszystko, co jest w dziedzinie myśli prostactwem, matołkostwem, tępotą. Być rozumnym w tej interpretacji znaczy tyle, co być głupim, po raz pierwszy tu dopiero pogardę dla rozumu uważa się za objaw mądrości.

Nie jest zadaniem niniejszego artykułu badanie przyczyn tego zwrotu. Zainteresowania moje przenoszę na stronę społeczno-psychologiczną zagadnienia. Stoimy wobec faktu, że „racjonalizm" w wyczuciu inteligencji naszej jest synonimem ograniczoności umysłowej — i zapytuję, co ten fakt oznacza, co wróży, jakie wobec niego powinniśmy zająć stanowisko?

Odpowiem pokrótce. Oznacza on przedewszystkiem wzmożony kult intuicji, natchnienia twórczego, rozmachu w przeciwieństwie do konstrukcyjności, planowości, ładu. I ten, tak mocno dziś tętniący nerw intuicjonizmu jest dla życia umysłowego narodu wprost bezcenny. Tego nie potrzeba dowodzić, bo to jest oczywiste. Fałszywe i szkodliwe jest natomiast ustosunkowanie intuicji do rozumu. Irracjonalizm pragmatystów i Bergsona w odbiciu społecznem (w którem zatraca on rzeczywiste poczucie swego rodowodu) wyraża się jako przekazanie intuicji wyłącznego prawa r z ą d z e n i a życiem, rozum jest dobry do biura i rachunków z kucharką. W tym to poglądzie tkwi zarodek i przyczyna zaniku ideałów człowieka harmonijnego, zaniku, który „jeśli dobrze pójdzie" może nas cofnąć do zupełnego barbarzyństwa. Bo jeśli niepłodny jest człowiek bez intuicji, to całkowicie bezbronny jest człowiek bez rozumu. Z racjonalizmem mamy wcale poważne porachunki, możemy mieć do niego pretensje o to, że intuicję krępuje, zacieśnia, że nie jest elastyczny i nie rozszerza swych ram w miarę, jak ich zawartość się powiększa — słowem za jego nadużycia. Ale nie wolno nam zapominać, że intuicja tylko wtedy jest płodna, gdy zawojowane przez nią tereny przejmuje b e z p o ś r e d n i o we władanie rozum. Dopiero wyrobienie w sobie tak sprężystego mechanizmu psychicznego, aby każdej chwili umieć zluzować rygle starych form intelektualnych dla dania przejścia świeżemu prądowi intuicji i natychmiast oddać nową zdobycz w administrację odpowiednio rozszerzonego aparatu rozumu, stwarza typ człowieka pełnego i harmonijnego, Pokonać w sobie wszelką sztywność, wyplenić skrzepy, otworzyć wrota duszy na szalony przypływ fali tajemniczego oceanu, którym jest życie i każdą zdobycz nazwać ludzkim językiem, worganizować ją w system bogactw dawniej zdobytych— oto sposób postępowania, który jak świat światem praktykowała ludzkość, ilekroć tworzyła wielkie dzieje. Uprawianie jednej z tych funkcyj przy zaniedbaniu drugiej powoduje dwie odwieczne formy zboczenia życia duchowego, które przez analogję do patalogji medycznej nazwaćby można rachityzmem i sklerozą.[2])

Przerost intuicjonizmu nie mógł nie wywołać reakcji racjonalistycznej. Zło tej reakcji tkwi w tem, że dzisiejszy racjonalizm stał się pewnego rodzaju ruchem z a w o d o w y m, okopał się w transzejach, prawda, że dzięki arcykunsztownym ich urządzeniom niezdobytych, ale też przez nikogo nie zdobywanych, bardziej przypominających klub ekscentryków niż twierdzę. Wywiązał się u nas ruch umysłowy bardziej do akrobatyki zbliżony niż do filozofji, na swoim terenie doskonale zagospodarowany, ale sekciarski w stopniu, czyniącym go zupełnym nieużytkiem w całości życia umysłowego narodu. Refleksy jego spotykamy i w nauce i w krytyce literackiej. Ale cała ta reakcja nie zbliżyła dwóch ogniw, które i przedtem były rozdzielone, przeciwnie, rozdział ten tylko pogłębiła. Intuicjonizm zaś przenika do najdalszych dziedzin życia, jak fala zalewająca płaszczyznę.

---

[1]) Piękne i głębokie studja na ten temat zawdzięczamy p. Julien Benda, który poddał ostrej krytyce bergsonizm. Ze względu na ujęcie, najbliższe niniejszym rozważaniom będą — *„Sur e succés du Bergsonnisme"* i *„Belphègor"*.

[2]) Warto przy tej okazji przypomnieć, że najgorętszy w Polsce bojownik intuicjonizmu, wielbiciel i popularyzator Bergsona, a przytem jedna z przednich inteligencyj ostatniego ćwierćwiecza — Stanisław Brzozowski, wchodził już był w ostatnich latach swego życia w fazę zaostrzonego krytycyzmu wobec kultu intuicji. Ciekawy jest niezmiernie pod tym względem „Pamiętnik" autora „Legendy". W jednem miejscu pisze Brzozowski, że w córeczce swej chce wyrabiać nałogi geometryczne. Jego stosunek do Moljera, jego antywagnerjanizm przemawiają również na korzyść wyrażonego tu poglądu.

Najznamienniejszym bodaj z jego refleksów będzie refleks etyczny. „Najważniejsze jest to, co się czuje“ — inaczej „religja serca“. — Stosowanie kryterjów emocjonalnych w ocenach moralnych zacieśniło skalę naszego repertuaru etycznego do dwóch najgrubszych form stosunku człowieka do swego bliźniego — brutalnego sybarytyzmu i naiwnych wzlotów „altruizmu“, który dzięki zwłaszcza wpływowi Żeromskiego przerodził się u nas w kult jakiejś fizjologicznie rozkosznej furji miłosnej, uczucia pełnej dyfuzji psychicznej między ludźmi, radosnego zatracenia wszelkich granic duchowych między człowiekiem a człowiekiem. Jak wielkim krokiem wstecz, ku barbarzyństwu jest uprawianie tak pojmowanej cnoty miłości bliźniego — dowodzić nie potrzeba. Wszystkie szlachetniejsze formy reakcyj moralnych są pod względem konstrukcji psychologicznej formami mieszanemi, w których rozum przeplata się kunsztownie z intuicją. — Bałwochwalczy kult jednostki, opieranie rachub życiowych i politycznych na czyjemś „szczęściu“ i „łatwej ręce“, niezrozumienie wartości wysiłku, systemu, planu w pracy społecznej — wszystkie te tak dobrze nam znane potworki życia powszedniego Polski dzisiejszej — są to zwyrodniałe formy intuicjonizmu, który w swej krańcowej postaci jest wrogiem harmonji, a przez to ideałem najgłębiej antyhumanitarnym.

Byłoby naiwnością, godną najopaczniej pojętego racjonalizmu, przypuszczać, że programowe tamowanie prądu ewolucyjnego, w którego nurtach pojęcie „racjonalizmu“ dziś się znalazło, wpłynąćby mogło na przekształcenie psychiki dzisiejszej, tonącej w oparach intuicjonizmu. Trzeba być na tyle intuicjonistą, aby wyczuć bezsilność dekretu logiki i rozsądku, tych władz porządkujących, a nie tworzących — tam, gdzie ciemny bezmiar zagadek—życie—z despotyzmem bezlitośnym rzuca nas na falę.

Rolą okrętu nie jest zniszczenie oceanu, lecz jego przepłynięcie. Rolą rozumu — bronić praw swoich tam wszędzie, gdzie jego zwycięstwo jest jednoznaczne ze zwycięstwem człowieka.

Poznań JAN EMIL SKIWSKI

MIĘDZY NAJEZDNIKIEM A WŁADCĄ

II

PIEŃKOWSKI alarmuje nas (w artykule p. t. „Ramię dostojne“ z r. 1910)—pewną „myślą obłędną, której ojcem strach, a matką rozpacz“—myślą, co poszła w świat „ludzi roztkliwiać i życie rozkładać“ (podkr. moje). Cóż za myśl złowroga, która, acz „niewinna z oblicza“, jady kryje „śmiertelne w swem zanadrzu“? Zgodni dotychczas z autorem „Masek“, gotujemy się przyjąć ją w postawie wstrętu i obrony....

Baczność! Nadchodzi: „Niejedno ramię dostojne szlę ciągnąć musi, gdy konia zbraknie“. W tych Żeromskiego słowach zawarła się właśnie myśl, co „życie zatruwa“, myśl „wynaturzonego demokratyzmu, który z instynktami stracił kontakt i wynaturza je z kolei“, „dogmat sentymentalny, zwodniczo mglista piosenka, bąk jadowity puszczony w krainę dusz naszych z przemęczonej cięciwy“, „śpiew rusałki mężnych topiącej rycerzy“ i t. d. w tym sensie. „Koniom szle narzucajcie“, woła autor „Masek“, „uczcie je chodzić i ciągnąć pod rozkazami swemi, a podczas i bata użyjcie, gdy cierpliwości albo czasu zbraknie“ — poucza, — „gdy“ „zbraknie“ biorąc w kąśliwe cudzysłowy. „Ale nie macie odwagi, oto jest tajemnica sentymentów waszych. Za to pokorna bezczelność wasza (podkr. moje) do ramion dostojnych się zwraca ze zdradzieckiem westchnieniem, a może i do własnego ramienia“. Autor nasz spogląda w przyszłość; on nie z tych, którzy się frasują, co mianowicie robić z „wozem społecznym i narodowym“, gdy on w błocie ugrzęźnie, on nie sądzi, aby przy wozie tym miejsce było dla „tytanów“: Wszakże ich mięśnie tyleż tu znaczą „co mięśnie każdego z brzegu obywatela“. Jeśli się tytani do tego wprzęgli woza, to ich to wina: Oni się tym sposobem wywijają od własnego dzieła „wysokiego i trudnego“, „oni się wysiłku woli i ducha lękają i lęk ten do zasady śmieją podnosić i kłamstwem żyć i kłamstwo wokół szerzyć“ (119-122).

Cóż jednak z całej tej pasji zostanie, jeśli ją na młynek puścić myślenia konkretnego i czucia rzetelnego? Zaledwo szczypta ziarna, a zresztą słowa, słowa i słowa — słowa nieopatrzne i niewdzięczne, które w duszach, młodzieży zwłaszcza, posiane, zagłuszyłyby ten biedny polski łan kąkolem i chwastem jeszcze bujniejszym filisterji i sobkowstwa najgorszego, bo programowego i agresywnego. To właśnie myśl, którą „zabić należy i pragnąć, żeby wszyscy ją zabili“, myśl idąca wbrew rzeczywistości, wbrew faktom, wbrew wszystkiemu, co w nowożytnych nawarstwieniach idei „Polska“ najczcigodniejsze i najserdeczniejsze. Jakiż to lęk był przed wysiłkiem i wolą, ba, jakaż bezczelność u takiego np. Marjana Bohusza (J. K. Potockiego), który — udzielmy tu głosu Żeromskiemu właśnie,

> „gdzieindziej zostałby znanym docentem, może nawet cenionym profesorem. Tutaj został bezcennym dla pewnych sfer fejletonistą, tłómaczem i popularyzatorem. Rozmienił się na drobne i sam się w końcu wydał. Nauczał z niewidzialnej katedry swą rzeszę. Gdy wszystko przed rzeszą jest zamknięte, gdy ona mogła spodleć i zdziczeć, dawał jej wszystko, co poczytywał za najlepsze na zachodzie..... zmuszał pokolenie swoje do myśli, do pogłębienia uczuć społecznych, do uczenia się, do czuwania.... Inni później robili tę pracę lepiej, systematycznie. On jednak był pierwszy. Wszystko zaś o szklance herbaty i dosłownie o kawałku suchego chleba“...

Słodkiż to był „drumuli dźwięk mężnych usypiającej rycerzy“, myśl, co życie rozkładała i zatruwała, myśl owa, co urzekła takiego Krzemińskiego Stanisława który—

> „historyk, esseista, bibliofil, a nadewszystko badacz samoistny, gdzieindziej byłby głośnym i uczonym pisarzem, który pracowałby w spokoju na sławę i pomnik. W dawnej Warszawie był publicystą, pisarzem artykułów politycznych, niepochwytnym dla wroga przemytnikiem na pograniczu dawnych i nowych czasów. Sekretnie, sposobem tajnym, do ludzi, którzy go czcili, pisał o Polsce „Pani moja, Mocarka wielka, Matka najsłodsza“. Wierzył niezmiennie przeciw wszystkiej rzeczywistości w niepodległość przyszłą narodu podartego i nieszczęśliwego..... Pracował bez przerwy, bez wytchnienia, jako kanclerz bezsenny nieistniejącego państwa“....

Był że to „wynaturzony demokratyzm“, który w masę ludową, odcinaną przez zaborców od wszystkiego, co światłe i świadome w narodzie, pozostawioną samą sobie, bez pieczy, bez oka dobrego i mądrego — w masę szedł z wysłuchem, z sercem, z poradą, z elementarzem, z pisemkiem, z kooperatywą, z rozrywką, z całą tą robotą częściej podziemną niż jawną, najczęściej grożącą wywichnięciem życia, która „ludzi ciemnych w światłych przemieniała obywateli“?!... Dzięki tym po

koleniom „społecznikowskim“, zapracowanym jak konie na wybojach, pokoleniom „Warszawiaków“ i „Entuzjastek“ dzięki tym ludziom, którzy się w tłumie rozpłynęli—nie wyrzekłszy się w pewnej chwili owego b o ż y s z c z a! — pokolenia następne, „wyssały wszystko, czem żyją dotąd“.... Tacy właśnie ludzie — jakich dziś z krótką wzmianką wyliczają nekrologi pism prowincjonalnych — ci żołnierze prawdziwi z czasów przygasłych i powszednich sprawili, żeśmy my, pokolenie dzisiejsze otrzymali słowo „Polska“, jako słowo żywe, tętniące namacalnemi pulsami prawdziwości, i dla wszystkich nas, którzy odczytujemy je jako cyfrę olbrzymiego i wspaniałego nakładu trudu i ofiary — najpiękniejsze w świecie. Pamięć o tych ludziach szarych, ludziach w szlach końskich sprawia, że możemy obcym twardo w oczy popatrzeć, gdy mniemać śmią, żeśmy państwo dostali zadarmo...

I czyż nie „rasowi“ zaiste ludzie to byli — najlepsi z narodu, ci, co sprawili, iż „Polska“ stała się niepokojącym aż do szpiku sumienia przekazem wdzięczności za to, że my dzisiejsi aniśmy spodleni, ani zdziczali, żeśmy na pognój nie poszli, ani zczeźli?... *Et quasi cursores vitae lampada tradunt.* Mielibyśmy dla pozy „dostojnej“ wyrzec się wdzięczności wobec tych, co nie po gościńcach biegnąc wspaniałych, ale przez bagniska po pas brodząc, z pochodnią, co dłonie aż do kości przepalała, dla nas ocalili światło wolności, godności i rodzimej kultury? Czyż cały ten, ciche cienie tamtych przepłaszający stukot butów, z jakim pokolenie współczesne weszło do Polski niepodległej— jest czemś w dobrym, rasowym guście autora „Masek“? Jeżeli nie — to cała owa „dostojna“ eskapada przeciwko „społecznikom“ jest niczem innem, jeno werbalistyczną sieczką. Nie, u nas w Polsce *de facto* nie do pomyślenia stał się „człowiek rasowy“, któryby nie miał poczucia odpowiedzialności, objawiającego się w „pracy społecznej“, czy przynajmniej.... szacunku dla niej.

*

Jest coprawda i szczypta ziarna w tem wszystkiem. To słuszna uwaga, że byłaby to „przedpotowa gospodarka społeczna“, gdyby wszyscy robili wszystko; i w tem słuszność, że pod pozorem obowiązku pracy społecznej folguje niejeden swej bierności, że bywa ona „pięknie ubranem lenistwem ducha“. Ale z tego wynikają tylko pewne praktyczne ostrzeżenia, które wypowiedzieć można całkiem innym tonem. *C'est le ton*[1]).

Dla narodowca sprawa zasadniczo przedstawia się całkiem wyraźnie. Gdybyśmy mianowicie przyznali raz wartość autonomiczną (samodzielną) rozmaitym poszczególnym, z całokształtu życia społecznego wyodrębnionym skłonnościom, upodobaniom, prądom, pracom, zawodom, gdybyśmy, słowem, zrezygnowali z tego, aby w a r t o ś ć z u p e ł n ą p r z y p i s y w a ć t y l k o c z ł o w i e k o w i z u p e ł n e m u, t.j. takiemu, j a k i m s i ę j e s t w c a ł o k s z t a ł c i e s w o i c h s t o s u n k ó w ż y c i o w o - s p o ł e c z n y c h — to byśmy już, konsekwentnie, zrezygnować musieli z podstawowej tezy nacjonalizmu o wyższości moralno-socjologicznej narodu nad różnemi innemi zbiorowościami. Jest n.p. cały szereg zbiorowości zawodowych międzykrajowych i gdybyśmy raz dali przyzwolenie na zasadę, że za pomocą przynależności do jednej z takich wspólnot — zadośćuczynić można wszystkim swym społecznym obowiązkom — te już, z kolei, każdy zespolik, każda kapliczka, każda rodzina uzyskałyby swobodę żądania dla siebie autonomji nieograniczonej. My własnie narodowcy czuwamy nad tem, aby się w danej terytorjalnie i ciągłością w czasie wyznaczonej zbiorowości społecznej energje nie wymykały, nie chowały w głąb pod ziemię, nie ulatniały się w przestwór, nie przeciekały za granicę — ale by w całości, wszystkie razem, trwale, metodycznie pracowały nad ulepszeniem życia tam właśnie, gdzie ich zużycie będzie najbardziej produktywne — więc t u n a m i e j s c u. Nie znaczy to, ażeby elementom energji w narodzie zakazana być miała jakakolwiek e k s e n t r y c z n o ś ć — w nienagannem, dosłownem znaczeniu tego wyrazu. Ale to oznacza jedno ostrzeżenie stanowcze: Nie mniemaj, jakobyś spełniając jeden obowiązek, należąc do j e d n e j grupy specjalnej, pracując dla j e d n e j idei — zrobił już swoje! Nie, swoje zrobisz wtedy dopiero, gdy zmobilizujesz w sobie swoje *maximum* energji psychicznej, aby z życiem narodu wejść w kontakt maksymalny.

W praktyce wygląda to zgoła nie koturnowo: Nie masz czasu na pracę społeczną, jesteś lekarzem, poetą, astronomem, gastronomem, nie jesteś więc nigdzie ani prezesem, ani sekretarzem, ani członkiem komisji rewizyjnej, — zgoda, ale zapisz się do jednego dwóch, trzech — w miarę kieszeni — związków pożytecznych — i płać składki.

Tak i całkiem poprostu: płać. Bo człowiek przyzwoity, który obliczy sobie pewnego razu, ile d z i e j e w y d a ł y n a n i e g o razem z jego pracownią, fotelem, bezpieczeństwem i kulturą—będzie szukał i oglądał się, gdzieby tu p ł a c i ć — jeżeli już nie trudem, to przynajmniej monetą. Rozpowszechnić trzeba przeświadczenie: Dżentelmen prawdziwy także wobec cywilizacji, wstydzi się i brzydzi być pasorzytem.

*

Lecz oto nowy zwrot w postawie autora „Masek“. Rozróżnia on między Patosem a Etosem życia: Patos a Etos — należy to tak rozumieć — to o s o b i s t o ś ć a z b i o r o w o ś ć — w z n i o s ł o ś ć, m o n u m e n t a l n o ś ć a c o d z i e n n o ś ć i p o w s z e c h n o ś ć — o r y g i n a l n o ś ć a o b y c z a j, t w ó r c z o ś ć a p o p u l a r y z a c j a.

I troską jego jest Etos polski. W pięknym znowu i uwagi godnym art. pt. „Patos i Etos“ architektury (pisanym z powodu kwestji odbudowy powojennej kraju) pisze:

„Nadzwyczajność nie ma oparcia w zwyczaju... Zbyt często w dziejach naszej kultury przejawia się przewaga a nawet wyłączność Patosu. A Patos jest drzewem, które tylko na gruncie Etosu, na gruncie obyczaju rosnąć i rozwijać się może. J e ś l i n a t e n g r u n t n i e z w r ó c i m y u w a g i, w y c z e r p i e s i ę n a s z a n a t u r a l n a m o c p a t e t y c z n a, a w t e d y n i e b ę d z i e w a r t o ż y ć... Brak nam tęgiego człowieka średniego, brak nam przewódców i organizatorów pracy w poszczególnych zawodach i działach życia społecznego... Wszystko od góry do dołu zrzeszyć mamy i związać — od szewstwa do malarstwa, od stolarstwa do muzyki, od handlu do architektury, od roli do polityki. Tylko we wszechstronnej organizacji narodu wykształcić się mogą owe tysiące rąk pomocniczych, owi bezpośredni przewódcy składowych części narodu. Oni nie dadzą żadnemu wielkiemu głosowi przejść bez echa, oni podejmą i rozwiną każde zapoczątkowanie twórcy“...

Słowem mamy tu przyznanie, że trwały i niezagrożony wykwit najwyższy rasowych zdolności, ich

---

[1]) Np. wiele u nas rzeczy robiła młodzież: Jeżeli pożyteczne jest, aby młodzież wciągać do prac społecznych, to w każdym razie baczyć należy, aby oszczędzić jej zatrudnień administracyjnych, połączonych ze stratą drogiego czasu i siły.

kwiecistość wykwintną, ich „Patos" — osiąga się tylko na podstawie „etycznej", na podstawie rozwoju szerokich mas. Jakże wobec tego wyglądają owe poprzednie, wysoce szydliwe, odezwania się o społecznikach — odezwania, które całkiem niewątpliwie tonem swoim i słownictwem przypominają Nietscheańską manjerę „nadczłowieka"?...

Autor „Masek", tak dobrze rozumiejąc znaczenie Etosu dla Patosu, nie natrafia jednak ani na ślad zagadnienia, czy przypadkiem do wytworzenia Etosu potrzebne nie są, owszem niezbędne — rozmaite takie właściwości duchowe, jak „s p r a w i e d l i w o ś ć, powaga, prawo, przedmiotowość, a l t r u i z m, l i t o ś ć", które on właśnie wyrzuca za okno, *mit sack und pack* razem z sumieniem chrześcijańskiem, owym — „z a t r u t y m d a r e m k r z y ż a c k i m"...? (str. 8)

Z pewnością — bodźcem do rozwijania ładności, czystości, komfortu, stylu, wesołości życia zbiorowego może być samo pozytywne, twórcze, rozlewne nasilenie energji — i cała książka Pieńkowskiego tym właśnie tonem dźwięczy śpiżowym a jasnym. Ale na tem wyłącznie pragnąć poprzestać, całą resztę bodźców, cały gniew na uwiąd i nieudanie się życia, całą litość i współcierpienie pragnąć z psychiki wydestylować i strącić na dno wzgardy — czyż to nie czysta werbalistyk, czyste, nie psychologiczne i nie socjologiczne *sui generis* moralizatorstwo na wywrót?

Ból jest alarmem niebezpieczeństwa, współból jest alarmem niebezpieczeństwa zbiorowego. Kto zaś wszedł na drogę Etosu, jakąż logiką wyrzeka się tego „daru zatrutego" — w s p ó ł c z u c i a? Kto jest tak „wspaniałomyślny i szczodry", jakim ma być ten „rasowy człowiek", z jakiejże racji okazać ma się tak ze swą energją oszczędny, tak hygjenicznie nastrojony, ażby się obawiał widoku straszliwych chorób szpecących cywilizację? Ten w „Maskach życia" motyw „przeciwlitości", przeciwny chrześcijańskiej miłości bliźniego, jest żywcem, wcale nie przefasonowany stylistycznie, przejęty z Nietschego. Ale czyż cała ta nietscheańska furja, skierowana na „chorobliwość współczucia" nie świadczy o jakiemś głębokiem załamaniu wewnętrznem, o jakimś rysie głębokiego u b ó s t w a e n e r g e t y c z n e g o, które przed obrazami nędzy i niedoli chroni się w świat marzeń — marzeń o życiu bożem i w słońcu?... Bogactwo prawe, siła nieugodzona tajemnym urazem jakiegoś wielkiego wyczerpania, wola mocy, która nie potrzebuje wciąż tonifikować siebie samej odróżnianiem się od tła, szczodrość i wspaniałomyślność, które nie w odruchach fantazyjnych się wyrażą, ale po męsku utrwalą w logice działań — to wszystko nie wyrzeknie się i nie przelęknie tego permanentnego środka alarmowego, jakim jest współczucie, trwałe, nieznużone, bezsenne. Czyżby naprawa i upiększanie życia zbiorowego, praca etyczna zacząć się miała od momentu dopiero, w którym życie przybrało się już jako tako przyzwoicie i obmyło? Czyliż raczej zejść nie trzeba aż do otchłani, z „krzyżem na sercu wystawionym"?...

Jest w „Maskach" ładny artykuł o „kulturze gestu", o tem, że kultura jednostki nie da się pomyśleć bez wszechstronnej kultury ciała, że dbać należy o ekspresyjność i estetykę ruchu i pozy... Doskonale; kochajmy kwiaty i pieśćmy się z niemi. Jest z pewnością w kwiatach coś, co jest czystą, bezinteresowną grą kosmicznej wyobraźni, pięknem beżużytecznem.

Kwiat zapomniał o swem zadaniu naczelnem i części rodne przemienia w bezpłodny wykwint płatków — utrzymać się nie zdoła bez starań przemyślnych ogrodnika. Ale czyż kultura, której sfery wyższe, mające szczęście żyć jak kwiat w słońcu i powietrzu szerokiem, wyosobnią się ze swoją „kulturą gestu", swoim salonem, swoim pańskim patosem od pospólnego życia zbiorowości, od podziemnych jej regjonów odetną się znieczuleniem, wyszarpaniem ze serc swych współczucia — czyż kultura taka spodziewać się może, że ją podtrzyma i uratuje transcendentny ogrodnik?... „Kultura gestu"... piękna rzecz; ale czyż sumienie i rozsądek pozwolą zapomnieć, że tymczasem niezliczone krocie łachmanów ludzkich grzebią się, kłębią, spółkują i zamierają powoli po tych olbrzymich śmietnikach na ludzi, jakiemi są ubogie dzielnice naszych miast?.

Owszem, można i tak; można — (pominąwszy oczywiście kwestję historycznej utrzymalności tej koncepcji) — zapragnąć „patetycznego" życia nielicznej grupy wywyższonych, życia kosztem olbrzymiej większości społecznej, można stawić postulat hodowli rasy kosztem mas, obróconych w pognój: „g ł ó w n y p u n k t w i d z e n i a, że zadanie gatunku wyższego widzi się n i e w k i e r o w a n i u gatunkiem niższym, lecz, że niższy uważa się za p o d s t a w ę, na której gatunek wyższy żyje gwoli swemu własnemu zadaniu— na której dopiero może on stanąć". W tem Nietschego zdaniu (z „Woli mocy") mamy klasyczny wyraz ideału człowieka rasowego, którego najstosowniej będzie nazwać n a j e z d n i k i e m. I cały styl Nietscheańskiej mowy o „nadczłowieku" jest postawy tej dosadnym odpowiednikiem.

Tym samym stylem pogardy mówi Pieńkowski o cnotach tak nienajezdniczych, chrześcijańskich. Tylko że, jak widzieliśmy dopiero co, u niego Patos nie jest bynajmniej przeciwstawiony Etosowi, stosunek Patosu do Etosu nie jest u niego stosunkiem krzewu cieplarnianego do nawozu, ale stosunkiem kwiatu do łodygi i korzenia, więc i stosunek „człowieka rasowego" do masy społecznej powinien okazać się innym: powinien być stosunkiem kierowniczym, wychowawczym, opiekuńczym; takiego „człowieka rasowego", człowieka wzorowego nazwijmy w ł a d c ą.

I rzeczywiście; posłuchajmy tylko, co „Maski życia" mówią na str. 92: „Człowiek rasowy może panować nad światem, u p r a w i a ć go, p o d n o s i ć fizycznie, moralnie, umysłowo, k s z t a ł t o w a ć"... Ach tak, więc m o ż e to czynić, tak robić, od niechcenia, z fantazji... Chyba, że sam sobie na serjo uwierzy, że bez Etosu Patos zawisa w próżni, a wtedy już z kolei będzie musiał zastanowić się, czy do Etosu nie ma—conajmniej — jednego z dostępów głębokich od strony owego wzgardzonego „chrześcijańskiego sumienia"... A wtedy okazałoby się, że ów cały przesadzony w naszą duchowo nienajezdniczą glebę, rasową glebę osiadłych rolników, gazdów-hodowców— styl „nadczłowieczeński" jest tylko bałamuctwem niepotrzebnem. Nie wchodzę tu oczywiście w kwestję osobistą duszy autora, jak się tam te rzeczy układają i które intencje są tam bardziej „przysobne"; krytyk ma możność mówić tylko o intencjach i logice k s i ą ż k i, która jako taka weszła w społeczną przedmiotowość.

Krytyka jest w prawie ideały autorów dyssekować i wybierać na duchowe pożywienie narodowe części strawniejsze, pożywniejsze. Na pożywne składniki zarysowującej się w książce St. Pieńkowskiego wizji człowieka rasowego, starałem się uwagę zwrócić poprzednio; tu podnoszę, że styl tego człowieka zamącony jest sprzecznością wewnętrzną. „Wola mocy" nie musi koniecznie skierowana być na ideał najezdniczy, można jej użyć też dla ideału władczego: władzy zapragnąć, aby „dźwignąć ten naród, uszczęśliwić i nim cały świat zadziwić..."; tylko trzeba się zdecydować"

trzeba dotrzeć do własnych podstaw. Pieńkowski w ideale swym chwieje się między najezdnikiem a władcą — i stąd rzeczy, które uznać trzeba za niestrawne, nieużyteczne, szkodliwe dla świadomości moralnej środowisk, prowadzących cywilizację narodową. Praktyczną konsekwencją nietscheanizmu może być jeno egzotyzm i egoizm kultury warstw zamożnych i wykształconych; a nie jest to pytanie błahe, owszem, to kwestja bardzo praktyczna, czy kultura inteligencka zawisa ponad glebą masową w powietrzu, jako tajemnicze, niezrozumiałe, nienawistne zbiorowisko „pańskich" kunsztów i wykwintów, czy też wieczystym, błogosławionym kołowrotem wody żywiącej powraca do gleby?...

Kiedy przychodzi na człowieka wielkie zmęczenie nigdy nie uspokojonem kotłowiskiem i rojowiskiem ideologij i prac specjalnych i sprzeczności i niepewności i twierdzeń i krytyk, tłoczących się po umysłowości naszej ciżbą ogromną i zawsze ruchomą; i kiedy się widzi, jak słowa, słowa—budziciele, słowa, które jako dyski platynowe, toczyć się miały w świat, poprzez mózgi współludzi i koleje w nich żłobić głębokie, nigdy nie zatarte—padają w próżnię, w zapomnienie, zadeptanie: to wtedy objawia się sercu, że jedna jest tylko rzecz naprawdę pewna, która nigdy nie zblazuje, nigdy nie zużyje, nigdy nie zawiedzie: pomóc żywemu człowiekowi.

*

„Maski życia", to książka, która — jak się już rzekło — z wielu względów poucza i odświeża. Ale kiedy w książce tej „drapieżność, podmiotowość, bezwzględność" nadchodzą w dumnych parach z rasowością, szlachetnością, wspaniałomyślnością, a „sprawiedliwość, dobroć, przedmiotowość" wzgardzone razem z faktyczną słabizną duchową — to, jaknajbardziej stanowczo ostrzec trzeba opinję przed wkraczającym orszakiem słów w maskaradzie, które pozamieniały między sobą rzeczywiste swe godności. W wielkiem zawikłaniu czasów nie pora na pojęciowe saturnalja. Prostą niech będzie nasza mowa: „Tak — tak, nie — nie". Świadomość narodowa wybrać musi niechwiejnie pomiędzy stylem rodzimym władcy, a stylem z wrogiej przywleczonym obczyzny, najezdnika.

Kraków KAROL LUDWIK KONIŃSKI

LITERATURA IRLANDZKA

(*Dokończenie*)

ODRODZENIE się irlandzkiej świadomości narodowej znalazło swój wyraz i w literaturze. W r. 1885 poczyna się ruch zwany „*Celtic Revival*", którego inicjatorami byli: Stopford Brooke, Douglas Hyde i Gavan Duffy. Hasłem „*Celtic Revival*" było wyodrębienia się kulturalne Irlandji z pod supremacji Anglji. Irlandja przeżywa coś w rodzaju spóźnionego romantyzmu z jego zwrotem do przeszłości, szukaniem natchnień w duszy ludowej. Nawiązywać zaczęto do starej tradycji Erinu, zagłębiać się w tajnikach języka gaelickiego, badać pierwotne obyczaje dzikich wysp irlandzkich, które dramaturg John Millington Synge zwie „ostatnią warownią Gaela". W r. 1893 wydaje D. Hyde „*The love songs of Connacht*", gdzie klechdy dawnej Irlandji objawiają się w całym swym uroku i świeżości. Hyde pierwszy też zwrócił się do literatów irlandzkich z apelem, by język angielski przeplatali wyrażeniami gaelickiemi. W r. 1892 powstaje w Dublinie „*Irish national literary society*" grupujące młode pokolenie pisarzy irlandzkich. W kilka lat potem George Moore, W. B. Yeats i Edward Martin zakładają „*Irish Theatre*". Twórcy nowego teatru pragną skierować go na tory wybitnie artystyczne, idąc w tym względzie za ibsenowskiem wołaniem o „teatr wolny", którego realizację podjęto we Francji, Niemczech i Anglji. Mimo tego sztuki wystawione na deskach „*Irish Theatre*" mają za temat przeważnie legendy i mity ojczyste i posiadają do pewnego stopnia wspólne oblicze ideologiczne. E. Martin wystawił w „*Irish Theatre*" dramaty o motywach irlandkich, Yeats swoją „Księżniczkę Kasię", Synge sztuki z życia mieszkańców dzikich wysp arańskich; Douglas Hyde dał utwór sceniczny w języku gaelickim p. n. „*Casadh an t súgáin*" („Kręcenie powroza"). W r. 1904 upada „*Irish Theatre*", a miejsce jego zajmuje ruchliwa trupa artystyczna braci Fayów; zespół ten przybiera nazwę „*Irish National Dramatic Company*" i ogłasza się spadkobiercą teatru literackiego Moore'a i Yeatsa. Ten ostatni tworzy oficjalne pismo trupy p.t. „*Samhain*" — trupa Fayów zdobywa grunt pod nogami, instalując się w budynku „*Abbey Theatre*". Tam wystawiają Fayowie „*Deirdre*" Russella „*Cathleen ni Houlihan*" Yeatsa, komedje Lady S. A. Gregory i kilka dramatów J. M. Synge'a.

Na podstawie pierwszych odkryć skarbów literatury irlandzkiej próbowano rzucić syntetyczną charakterystykę rasy celtyckiej. Pokusił się o nią Ernest Renan, który mniemał, że cechami tej rasy jest pewna skłonność do idealizmu, łagodny smutek, marzycielskość i delikatność uczucia. Krytyk wiktorjańskiej Anglji—Matthew Arnold widzi przejawy psyche celtyckiej w literaturze w trosce o piękno formy, w melancholji i tkliwem uczuciu dla przyrody. W krytyce angielskiej mówi się o „*celtic element*" w twórczości i wyobraźni rozmaitych pisarzy angielskich (n.p. u Keatsa O. Wilde'a, R. L. Stevensona). Ow „*celtic element*" ma się objawiać w większej wrażliwości na barwę i dźwięk, w lotności i barwności wyobraźni i rozmiłowaniu w pięknie. Sądy Renana i Arnolda pochodzą z czasów, gdy znano tylko „Ossiana" i „Barzas Breiz" oraz niektóre pieśni starych bardów, co więcej „opłakują klęski, niż wielbią zwycięstwa", jak się o nich wyraził jeden z badaczy. Sagi gaelickie odkryte nieco później posiadają atmosferę walki, siły a nawet i okrucieństwa. Bohaterzy tych sag są — jak mówi słusznie uczony francuski J. Loth „*plus occupès a envoyer leurs ennemis dans l' autre monde qu'a y rêver*". Pozatem znajdujemy w tych opowieściach— „*ce singulier oubli de la condition humaine et de ses destinées, qu'on appele la gaité*" (J. Loth). „*Celtic Revival*" mimo, że rósł w dobie coraz to nowych odkryć zabytków literatury irlandzkiej, przejął się jednak poglądami i syntezami Renana i Arnolda. Nie odwoływał się on do etnicznej jedności, nie liczył się zbytnio z rzeczywistością historyczną, ale wskazywał przeważnie na ów fikcyjny ideał duszy celtyckiej, stworzony przez Renana i Arnolda. Podnoszono niejednokrotnie, że Irlandja jest światem ducha, podczas gdy Anglja światem grubej, brutalnej materji. Twórcy stojący na czele „*Celtic Revival*" zanurzyli się z rozkoszą w toń baśni i klechd, pełnych poezji i wizjonerstwa, pochwały dla utajonego w człowieku instynktu włóczęgi.

Mieszano, w dziwaczny nieraz sposób, elementy pogańskie i chrześcijańskie, baśniowa przeszłość irlandzka otwierała nieprzebraną możność przeżyć literackich, estetyzowań, interpretacji symbolicznej. Prymityw irlandzki stawał się nieraz wdzięczną kanwą dla transponowania skomplikowanych niepokojów duszy współczesnej, nieuleczalnej nostalgji, tęsknoty za pięknem i ukochania zwiewnego marzenia. Prostota prymitywu była — jak to się dzieje często w zwrotach ku prymitywom — jeszcze jednem źródłem wyrafinowania, doznaniem nowem i pełnem uroku dzięki swej świeżości i naiwności. W. B. Yeats, szkicując plan działalności teatru literackiego w Dublinie, podkreśla wymownie tę szczególną rolę poezji, jako zasłony, iluzji zakrywającej przed nami surowe oblicze rzeczywistości; sztuka zdaniem Yeatsa ma mówić ludowi „o jego własnem życiu, lub o tem życiu poezji, gdzie każdy może znaleźć swój obraz i odbicie, w niem bowiem wyzwala się natura ludzka z narzuconych jej bezwzględnie i dowolnie warunków bytu“.

Wokoło „*Celtic Revival*“ zgrupowały się indywidualności nader różnolite tak pod względem temperamentu jak i artyzmu. Należał tam ekonomista, malarz, poeta i krytyk w jednej osobie — G. W. Russell (pisujący pod pseudonimem A. E.), którego filozofja panteistyczna, zabarwiona silnie mistycyzmem indyjskim nie pozostała bez wpływu na metafizyczno-religijne poglądy W. B. Yeatsa. Obok G. W. Russella spotykamy zapalczywego i nieprzejednanego w walce z hegemonją kulturalną Angji Jamesa Stephensa, wcześnie zgasłego poetę Lionela Johnsona, którego utwory zdradzają wysokie wyrobienie stylowe, a szkice krytyczne (n. p. studjum o Th. Hardym) subtelne znawstwo i trafność sądu. Dalej należy tu wspomniana już Lady S. A. Gregory, autorka kilku z werwą napisanych komedyj. Z rad Lady S. A. Gregory korzystał niejednokrotnie twórca „Księżniczki Kasi“, gdy szukał motywów w ogromnej skarbnicy baśni i legend irlandzkich. Do „*Celtic Revival*“ przystał George Moore, autor pełnych ekshibicjonizmu i kultu własnego „ja“ zbiorów: „*Confession of a Young Man*“ i „*Memoirs of My Dead Life*“. Moore ulegał w pierwszej fazie swej twórczości przemożnym wpływom Zoli, Huysmansa i Goncourtów; uważał się za duchowego Francuza i we Francji widział ostoję prawdziwej sztuki. Powoli przeszedł Moore od epikureizmu, ostentacyjnego amoralizmu i chorobliwego estetyzmu ku zbawczej pewności religji. Odrębnie rysuje się wybitna sylweta J. M. Synge'a, który, otrząsnąwszy się z nastrojów prekursorów symbolizmu francuskiego, tworzył w odosobnieniu i samotności mocne w budowie i wyrazie dramaty, w których piękny liryzm mieszał się ze zgrzytami ostrego, brutalnego nieraz realizmu. Synge i W. B. Yeats są najwybitniejszemi indywidualnościami twórczemi w plejadzie „*Celtic Revival*“.

Poznań ZBIGNIEW GRABOWSKI

G. K. CHESTERTON

POWRÓT DON KISZOTA

Nieśmiertelny bohater Cervantes'a pociąga umysły twórcze tak samo dziś, jak przed trzema wiekami, swą utajoną w komizmie głębią poetycką. G. K. Chesterton jedną ze swych najnowszych powieści poświęca powrotowi Don Kiszota i jego wiekuistej szarży na wiatraki. Urywek z tej książki, poświęconej reformatorom społeczeństw, podajemy w chwili, gdy powrót Don Kiszota zajmuje Warszawę w teatrze Polskim:

MÓWIĄ o mnie moi współcześni, że jestem zacofany (rzekł Herne, człowiek nowoczesny, żyjący na modłę średniowieczną, przyp. tł.), że myślą przebywam w czasach zamierzchłych, o których marzył Don Kiszot. Nie zdają sobie sprawy, że to właściwie oni sami cofnęli się o trzysta lat, gdy Cervantes śnił o Don Kiszocie. Sami ciągle tkwią w Renesansie, epoce, uważanej przez Cervantes'a za nowe narodziny człowieka. Atoli ja myślę, że trzystoletnie niemowlę mocno już zgrzybiało. Więc pora, żeby sobie sprawiło nowe narodziny.

— Czyżby w rycerskich kształtach średniowiecza? — spytał Murrel. (Nowy Sanczo Pansa, przyp. tł.).

— Czemu nie? Przecież człowiek Odrodzenia przyszedł na świat w postaci antycznego Greka! Cervantes sądził, że za dni jego kona Romantyczność, Rozsądek zaś poczyna rozważnie zajmować jej miejsce. Według mnie, jak niegdyś Romantyczność rycerska, tak dzisiaj właśnie Rozum umiera... Tylko, że jego sędziwość jest mniej czcigodna, niż przestarzałość romantyczności. Trzeba nam wrócić do zwyklejszych i prostszych sposobów walki, trzeba nam kogoś, ktoby znowu uwierzył w konieczność szarży na wiatraki!

— Raczej kogoś, ktoby zdołał pomyślnie taką szarżę wykonać. — Rzekł Murrel.

— Czyś ty kiedy pomyślał, — ciągnął dalej Herne, — jakby to było dobrze, gdyby Don Kiszot rozbił ongi wiatraki! Znając historję wieków średnich, mam wrażenie, iż jedynym błędem Rycerza Smętnego Oblicza było to, iż rzucił się na martwe budy, zamiast na młynarzy. Młynarz to był średniowieczny faktor i pośrednik. On jest praojcem wszystkich dzisiejszych ajentów, faktorów i pośredników. Dawny wiatrak, to protoplasta wielkich młynów i fabryk, które tak zadymiły i spodliły naszą nowoczesność... Następnie Don Kiszot uwolnił gromadę więźniów, którzy się okazali zwykłymi zbójami. W naszych czasach częściej wloką do więzień obrabowanych, niż rabusiów... Don Kiszot wówczas się pomylił, lecz gdyby dzisiaj czyn swój powtórzył, — może nie zrobiłby pomyłki.

— Czy nie sądzisz, — spytał Murrel, — że teraźniejszość zanadto jest skomplikowana, aby ją sądzić tak poprostu?

— Sądzę, — odrzekł Herne, — że teraźniejszość zanadto jest skomplikowana, aby ją było można sądzić inaczej, niż poprostu... Czyż nie rozumiesz? W tem właśnie rzecz! Wasze maszyny są tak nieludzkie, że stały się już czemś normalnem, bo przestaliśmy ich potworność ogarniać. Stały się waszą drugą naturą, są też dalekie, obojętne i okrutne, jak sama Natura. Tak, błędny rycerz znowu jedzie przez lasy... Tylko teraz nie tuła się w gęstwinie drzew, ale w haszczach śrub i kół. Wasz martwy system mechanizacji zakreśliliście na tak ogromną skalę, że sami już nie wiecie, dokąd was zaprowadzi. Doszliście do paradoksu: — Przez ciągłe obliczanie, wszystko stało się nieobliczalne! Przywiązaliście ludzi do tak potwornie wielkich machin, że nikt nie widzi, skąd grozi mu cios. Urzeczywistniliście koszmar Don Kiszota: — Wiatraki stały się Olbrzymami.

Przełożyła HALINA BARDZIŃSKA

LIBERUM VETO

Miłe wspomnienia. — Korzyści z wyborów. — Czego można dowieść językiem a smykiem. — Sprawdzenie bajki. — P. Rataj.— Nie cuchnie. — Politycy realni. — Błędy i winy.

PISZĘ te słowa w dziwnie błogim nastroju. Bo przez okno nie tylko rzuca mi swoje wesołe uśmiechy słońce wiosenne, ale widzę trzepoczące się „dobrowolnie" w powietrzu wyniszczone flagi przy bramach domów, słyszę miarowe marsze, muzykę... słowem przypomina mi się z niedalekiej przeszłości galówka i wszystko, co się z nią wiązało. Jakież to miłe wspomnienie! Dlaczego te piękne czasy i rozkoszne zwyczaje bywają ciągle potępiane, wyklinane i wyszydzane przez tych, którzy je dziś wskrzeszają — tego doprawdy pojąć nie mogę. Przecie to nawet jest bardzo demokratycznie i radykalnie, w tej naszej epoce „radości życia", w której wszystko jest przewartościowane. Wszystko „na wiwrót" — jak mówi jedna z mniejszości narodowych, chociaż czasem nie potrzeba wielkich zmian: wystarczy wstawienie jednej litery. Wtedy z liberalizmu powstanie liberjalizm.

Wybory do ciał prawodawczych zostały przeprowadzone z bardzo pomyślnym skutkiem. Wprawdzie pisma liberjowe — a między niemi najenergiczniej „Robotnik" — ogłaszają bogatą w pyszne obrazy epopeję „wolnych" wyborów, w których sanacja pokazała, co umie i do czego da się użyć, ale nawet te wypadki nacisku i gwałtu przyniosły niewątpliwą korzyść. Bo nie można lekceważyć politycznej lekcji poglądowej, która społeczeństwu unaoczniła, jak należy rozumieć zawarowaną w konstytucji swobodę głosowania i jak tę swobodę zastosować, ażeby uzyskać 130 posłów. Drugą doniosłą korzyścią jest oddanie kierownictwa losami kraju w ręce twórców „radości życia". Przysłowie ludowe mówi: „trudniej smykiem, niż językiem". Dotychczas wygrywał nam piękne melodje tylko język. Wiadomo, że ten kawałek mięsa może dowieść wszystkiego, może stwierdzić, że dyktatura jest najdemokratyczniejszym republikanizmem, że poniewieranie sejmem jest obroną parlamentaryzmu, że pełnym wzorem chemicznym idealnego związku pierwiastków społecznych jest dwa B, że tłumaczenie obywatelom Najjaśniejszej Rzeczypospolitej (za przykładem generał gubernatora kijowskiego, który mówił: *Swod zakonow eto ja*) konstytucja to ja, jest wykładem praworządności, i t. d. Również językiem można zapewnić, że gdy my będziemy rządzić, zobaczycie raj na ziemi! No niech pokażą, niech zagrają smykiem. Znana bajka o „łabędziu, szczupaku i raku", ciągnących wóz w przeciwne strony, ma być nieprawdą, owszem ma to być według twórców jedynki wyborczej najdoskonalszy zaprząg. Niech przekonają. Nie trzeba im przeszkadzać, nie trzeba słów odbijać słowami, bo taka walka może trwać bez końca. Najlepiej zejść z drogi i przypatrzeć się, jak łabędź, szczupak i rak wyciągną wóz z błota i popędzą na nim. Szczęśliwej podróży.

Niemałą korzyścią ostatnich wyborów jest zamknięcie drogi do marszałkostwa w sejmie p. Ratajowi. Byłoby oczywiście jeszcze lepszym wynikiem, gdyby tego konika zupełnie usunięto z szachownicy parlamentarnej. Ale skoro już na niej został, dobrze przynajmniej, że będzie tylko figurą podrzędną. Przesunął się on przed sądem opinji publicznej bez ciężkiego oskarżenia, a jednak właściwie był głównym współpracownikiem tej złej roboty politycznej, która trwa dotąd. Nie miał ani w swym umyśle, ani w swym charakterze najdrobniejszej zdolności przewodniczenia ciału ustawodawczemu z 444 posłów i kilkunastu stronnictw w najtrudniejszych położeniach, w których trzeba było utrzymać bieg nawy państwa w najprostszym i najbezpieczniejszym kierunku podczas burzy i korsarstwa. P. Rataj ze swoją gotowością do usług między przeciwnikami mógłby być niezłym pośrednikiem w tranzakcjach handlowych, maklerem na giełdzie, ale nigdy marszałkiem sejmu. Dla niego samego byłoby najlepiej, gdyby opuścił arenę polityczną, cofnął się do nauczycielstwa gimnazjalnego i tam zniknął w cieniu, w którym pozostawał przed wejściem do sejmu i z którego niepotrzebnie go wydobyto.

Politycy a przynajmniej nasi politycy trzymają się w doborze swych współpracowników i posługaczów tej zasady, którą cesarz rzymski stosował do pieniądza: *non olet* — skądkolwiek pochodzi nie cuchnie. Chociaż więc w wiązce „jedynki" niektóre ziółka wydają bardzo przykrą woń, dla tych, którzy ją zebrali i zużytkują, ona *non olet*. Więc nie trzeba kręcić nosem i krzyczeć, że ona nie pachnie, lecz czekać spokojnie, aż ten *millefleur* rozejdzie się po kraju. Wogóle należy pójść za przykładem narodów mądrych i praktycznych: Francuzi i Anglicy nie oburzali się, gdy na czele ich rządów stanęli stuprocentowi radykałowie, pozwolili im działać, wierząc, że najskuteczniejszą krytyką ich wartości politycznej będą ich czyny. Rachuba nie zawiodła. W głosowaniach parlamentu włoskiego objawia się większość 216 posłów przeciwko 15. Taki stosunek może zapewnić trwałość przewagi, ale gdy uchwały sejmu ważą się na kilka albo nawet (przy reformie rolnej) na jednym głosie, można śpiewać *Te Deum* tylko bardzo cichym głosem.

W przeglądzie nowych posłów prasa konserwatywna i bezpartyjna zrewidowała listę służby publicznej kilku działaczów podczas wojny z zaszczepioną surowicą niemiecką. Rodzina Radziwiłłów od wielu lat przyrosła do pnia pruskiego i zapewne ks. Janusz będzie w sejmie owocował według jej soku: nie on więc popełni niekonsekwencje, ale ci, że go wybrali do roli, do której jest niezdolny. Inny wypadek zachodzi z ks. Zdzisławem Lubomirskim. Syn czcigodnej pamięci Tadeusza grzeszył podczas najazdu niemieckiego nie brakiem patrjotyzmu, ale jego szczególnem pojmowaniem. Jest pewien i to bardzo liczny gatunek polityków, którzy sądzą, że w każdem, nawet najgorszem położeniu trzeba wyciągać doraźną korzyść z rzeczywistości, że zamiast walczyć z wrogiem bez nadziei natychmiastowego zwycięstwa, lepiej zawrzeć z nim ugodę i uzyskać, cokolwiek można. Do tej kategorji należeli członkowie Rady Regencyjnej, do niej należeli niezliczeni t. z. niepodległościowcy, do niej należeli również wszyscy ci, którzy stworzywszy legjon, związali go z armją niemiecką. Powtarzano znane słowa: „zawrę sojusz nawet z djabłem, jeśli on mi pomoże wyzwolić Polskę". Otóż w tem złudzeniu tkwi błąd, bo djabeł nigdy nie pomoże i zawsze oszuka. Podobnie oszuka Niemiec i wszelkie z nim przymierza prędzej czy później skończą się zdradą. Jeżeli zaś jaki naród nie powinien ulegać tej łatwowierności, to przedewszystkiem Polacy, których niemcy najprędzej i najbezczelniej oszukali niezliczoną ilość razy i których uważają za swoją zdobycz, za swoją strawę, jak wilki owce. Ród Rejtanów i Kościuszków, ród ludzi, którzy mają w swym umyśle niezłomną siłę zasad, a w swem sercu niepokonaną trwałość uczuć, jest bardzo nieliczny, olbrzymia większość składa się z twardszych lub miększych ugodowców. W katechizmie politycznym istnieje dogmat, według którego polityka jest łańcuchem kompromisów. Jest to rzeczywiście reguła mądra, ale tylko

dla tych, którzy widzą korzyść na końcu swego nosa lub na krańcu swego krótkiego wzroku. Trzeba przyznać, że taką radę daje im rozum, który rozstrzyga wszelkie zagadnienia w obrębie wartości realnych i nie wdaje się ani w przeczucia, ani w przewidywania. On powiedział naszym aktywistom podczas wojny: widzidzicie, że Niemcy rozbili wszystkie armje przeciwne, że rozpostarli się po całej Europie środkowej nigdzie niezwyciężeni, czy nie korzystniej z nimi pogodzić się, niż walczyć? Na 1000 Polaków 999 albo bez zastrzeżeń przyjęło te radę, albo uwierzyło w tę przepowiednię. Ostatnim nie należy się dziwić. Powodzenie wojenne Niemców było tak olśniewające, że prawie wyłączało możliwość przegranej. Ale taki rezultat nie przekonywał jednostek nieugiętych bądź w swej wierze, bądź w pragnieniu. Nie chcę tu bynajmniej popisać się moją stałą odrazą do Niemców i do ich polskich sojuszników podczas wojny, płynącą z daleko sięgającego przewidywania, przyznaję się szczerze do wątpienia o zwycięstwie koalicji. Największy wszakże ich triumf i największy jej pogrom nie wywoływał ani na chwilę w mojej duszy uznania dla kompromisu z tymi bandytami politycznymi; nie gasił nadziei, że oni kiedyś będą zamknięci jak dzikie zwierzęta w żelaznych klatkach. Mimo to nie mam ani szyderstwa, ani potępienia dla tych, którzy chcieli być realistami w polityce, o ile naturalnie dziś nie wypierają się tego i nie wykłamują dla siebie zasługi idealizmu. Można podsuwać historji sfałszowane dokumenty a niszczyć prawdziwe, ale zawsze coś pozostanie, co wystarczy przyszłości do sprawiedliwego sądu. Nie będzie ona piętnowała tych, co się omylili tylko tych, co oszukiwali. Obecna zaś nasza opinja o działaczach i czynach podczas wojny jest przeważnie wielkiem kłamstwem, prawda zaś nie może potępić Zdzisławów Lubomirskich. Mylili się, ale mieli dobrą wolę i dziś nie usiłują swoich błędów przerabiać na cnoty, jak to czynią bankruci polityczni, którzy się zbogacili na oszukiwaniu narodu podrabianiem swych zasług.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

ODGŁOSY WYBORCZE

PRZEŻYWAMY obecnie równie ciężki okres, jak ten, który przypadł państwu polskiemu w udziele w listopadzie i grudniu 1922 r. Nic więc dziwnego, że tempo rozważań i polemik powyborczych, choć tak bardzo krępowane kagańcem prasowym, przyśpiesza się i rozgrzewa. We wszystkich trzech dawnych b. zaborach przechodzi taktyka zachowawcza przez ciężki kryzys.

W Małopolsce agitacja za jedynką była jak najżywsza. P. P. Borkowski, Duch i Dziadosz — właściwy tryumwirat rządowy — zdali egzamin sprawności organizacyjnej na rzecz B. B. W. R. *summa cum laude*. Jak za czasów rabina Meiselsa, odbyło się np. w podmiejskiej Skawinie zebranie, na którem — jak donosi „Czas“ z 5 marca — „gorąco zachęcili do poparcia rządu ks. kanonik Roman Stojanowski i rabin Szymon Alter Fraenkel, który wezwał żydów do solidarnego głosowania na listę nr. 1“. „Czas“, który nie słynie z życzliwości dla duchowieństwa, w którym jednakże hr. Franciszek Potocki pragnie odgrywać rolę tego jedynego sprawiedliwego, dzięki któremu ocaleć mogła Sodoma, wyraża — w numerze z 7 marca — opinję, „że (część duchowieństwa warszawskiego i krakowskiego, którą zalicza do antyrządowej opozycji) dalej na tej drodze brnąć nie powinna bez prawdziwej, bez głębokiej, bez ubolewania godnej szkody dla sprawy Kościoła i wiary“.

Dalej od „Czasu“ idzie, jak zwykle, p. Mackiewicz, jego *enfant terrible*. „Słowo“ — wywodzi on w numerze tego pisma z 6 marca—jest „nietylko pismem katolickiem, lecz i pismem, chcącem się poświęcić propagandzie katolickiej, zwalczaniu indyferentyzmu religijnego wśród naszej inteligencji, misjonerstwu wśród ludzi obojętnych dla katolicyzmu“. Wobec tak donośnego oświadczenia, widzimy już oczyma duszy p. Mackiewicza, jako nowoczesnego misjonarza, idącego z dobrem słowem w najbliższe swoje sąsiedztwo, do dzikiego plemienia Sanojców. Ale zaraz i ten misjonarz przedzierżga się w kaznodzieję i dodaje: „Lecz tem nie mniej „Słowo“ nie boi się pisać prawdy i dlatego w jednym z dni najbliższych przytoczymy szereg faktów, świadczących o gorszących wybrykach niektórych przedstawicieli naszego duchowieństwa podczas akcji wyborczej i omówimy tę sprawę tak, jak na to zasługuje“.

W Poznaniu, gdzie romantycy ziemiańscy liczyli podobno na dwanaście mandatów z trzydziestki, umilkła wśród nich liryczna propaganda na rzecz rządu, przytłumiona niebywałym skandalem w drukarni „Dziennika Poznańskiego“, o którym już w jesieni mieliśmy sposobność wyrazić się, że „nie wiemy, czy (w jego Radzie Nadzorczej) dość wytrawni i szczerzy zasiadają konserwatyści“. [1])

Z Warszawy tym razem dochodzi nas głos odmienny od zasłyszanych z kół ziemiańskich w ostatnich czasach:

„Dla szerokiego ogółu polskiego, przeszłości pomnego — pisze w świeżo wydanem swojem „Credo“ p. Andrzej Garbiński— wyraz „okupacja“, w jakimś fantastycznym seansie kinematograficznym, wyobraziłby się w obrazach mniejwięcej następujących: zdobycie władzy w kraju podstępem lub siłą, z większym lub mniejszym przelewem krwi, pod pretekstem oficjalnym bylejakim choćby nieumiejętności rządzenia się; nieujawniony program takiego rządu, gdyż źródło natchnienia płynie z zewnątrz (Petersburga, Berlina lub Wiednia), życzliwy stosunek do tegoż rządu ze strony tych grup, których myśl polityczna nie jest dojrzałą lub nie jest w zgodzie z myślą samego jądra narodu; nepotyzm i faworyzowanie jedynie ludzi reprezentujących te grupy, lekceważenie instytucyj krajowych a nawet całego narodu, cenzura opinji społeczeństwa, samowola, brak praworządności,.. rządzenie krajem na bagnetach oparte!... Seans, jaki się rozwija przed naszemi oczyma, wiele ma wspólnego z obrazami przeszłości“[2])

Klęsce, jaka spotkała ziemiaństwo (bo czyż ono samo cieszy się jeszcze szczerze ze swoich mandatów jedynkowych, *rari nantes in gurgite* lewicy?), zawiniło ono samo: swoją niesamodzielnością, swoją biernością, swoim oportunizmem.

„Przebrzydłe domatorstwo, nałogowe lenistwo wołał do wielkich panów i szlachty ksiądz Marek z „Pamiętników Soplicy“. Byłem u Radziwiłła, wojewody wileńskiego: błagałem, mówiłem: Jedź do Warszawy, zajmij się rządem! Cała Litwa Twoja! Ratuj Ojczyznę!... Aż płakał, tak się rozczulił: Ja z torbą pójdę, powiedział, a niech ojczyzna będzie cała!“ Ale to nie idzie o ofiary z majątku, lub narażenie życia, ale siedź w Warszawie i zajmij się rządem. Oto wiesz, com wycisnął na koniec? — „Panie Kochanku, ja będę w Warszawie rządził, a mnie pan Michał Rejtan w Nalibokach wszystkie moje niedźwiedzie wybije“. — Udałem się do wojewody kijowskiego. Pan wielki i chętnie większą część majątku dla ojczyznyby oddał, ale, uczciwszy uszy, jakże to siedzieć w Warszawie, kiedy to człowiek przywykł wymykać się od żony, ażeby po kilka dni ciągle z panem miecznikiem Cie-

[1]) Linkeus: „Położenie w obozie zachowawczym“, str. 9.
[2]) Andrzej Grabiński: „Credo“, Warszawa 1927, str. 182.

sielskim pić w Szorsztynie.... Byłem u Sapiehy, kanclerza. Nie można! kocha ojczyznę, ale, rządząc, nie można mieć procesów, a jakże żyć bez konferencjów prawie codziennych z jurystami?— A pan Mniszech, marszałek wielki koronny, kocha ojczyznę ale „bała, bała, jak zasiądę się w Warszawie, dyspozytury zapuszczą gospodarstwa, kiedy ja nie będę ich na sesji w Dukli uczyć". — A pan krakowski (Branicki)? „Tego to, Panie Boże jedyny, niechno się obmuruję w Białymstoku, to o ojczyźnie pomyślę".—A książę Sanguszko, wojewoda wołyński? — „Mopanie, ja będę siedział w Warszawie, a stado moje sparszywieje" [3])

O oportunizmie tej warstwy nawet i pisać już nie warto. Jedno jest wszakże dla mnie pewnikiem po roli jaką odegrała w tych wyborach, że głuchota jej wobec wołań o niebezpieczeństwie zalewu żydowskiego czy masonerji nie płynęła z braku dostatecznego wyrobienia czy też pojętności. Nie! u większości— nie chciano słuchać ostrzeżeń, bo one krępowały swobodę ruchów i wygodę życiową, zobowiązywały do życiowej ascezy, do tego konserwatyzmu, o którym pisze Popiel, że nie powinien być „konserwatyzmem majątków, stanowiska, ale... konserwatyzmem skarbów duchowych...." [4])

K. M. M.

ŚMIERĆ JANA SMULSKIEGO

WIELKIE wrażenie zrobił w całym kraju telegram kablowy z Chicago, ogłoszony w dziennikach o nagłej śmierci śp. Jana Smulskiego, b. prezesa Wydziału Narodowego, który w czasie wojny oddał sprawie polskiej nieocenione usługi. Według tej wiadomości zginął od kuli rewolwerowej. Zastano go już nieżywego w jednym z hoteli chicagowskich. Obok niego leżał rewolwer. Pierwsza wiadomość podała ten fakt, jako samobójstwo. W chwili, gdy to piszemy, nie ma jeszcze bliższych szczegółów tego tragicznego wypadku.

Patrjotyzmowi, ofiarności, silnej woli i roztropności politycznej Smulskiego zawdzięczamy nie tylko pomoc pieniężną, z jaką śpieszyły kolonje polskie w Ameryce czynnym wówczas komitetom pomocy w Vevey, w Warszawie, Krakowie, ale głównie pomoc polityczną okazaną Komitetowi Narodowemu w Paryżu.

Śp. Smulski, pozostając w ścisłym kontakcie z Dmowskim i Paderewskim, dobrze ocenił wagę, jaką może mieć w polityce Stanów opinja ludności polskiej. Ludność ta dawała podczas głosowania na Prezydenta w samym Chicago około 50.000 głosów, a w całych Stanach najmniej pół miljona. Smulski, pomimo nie przebierającego w środkach przeciwdziałania ze strony lewicy polskiej, przez lewicę z kraju zorganizowanej, potrafił wytworzyć w Stanach silny obóz polski, opowiadający się za koalicją, walczącą z Niemcami.

Roman Dmowski w dziele swojem: „Polityka polska i odbudowanie państwa" (1925) tak ocenia zasługę Smulskiego, Wydziału Narodowego, i wogóle polskich amerykanów:

„Organizacje polskie w Stanach Zjednoczonych zaciągały szybko ochotnika (do armji francuskiej na zachodzie), ale nie śpieszyły się z jego wysyłaniem: uzależniły to one od naszego stanowiska względem nowej armji. Ta lojalność organizacji polsko-amerykańskiej, która w tej doniosłej sprawie, jak i w innych, uznała kierownictwo ludzi, prowadzących polską politykę na zachodzie Europy, była jedną z głównych podstaw naszej pozycji, jednym z warunków powodzenia naszych usiłowań. Wynikała ona stąd, że jedyną ambicją ludzi, stojących na czele organizacyj—jak J a n S m u l s k i, Piotrowski, ks. Zapała, biskup Rhode i in. było zrobić dla Polski jaknajwięcej, przyczynić się jaknajskuteczniej do jej wyzwolenia. Twierdzę to z całą stanowczością, że w tej wielkiej chwili dziejowej ż a d e n z o d ł a m ó w n a s z e g o n a r o d u n i e s p e ł n i ł l e p i e j s w e g o o b o w i ą z k u o d r o d a k ó w n a s z y c h w A m e r y c e."

W krytycznym dla sprawy polskiej momencie w jesieni 1918 r. Dmowski wyjechał do Stanów Zjednoczonych, aby złożyć Wilsonowi memorjał. O stosunkach, jakie tam zastał, pisze na str. 389:

„Uderzył mnie olbrzymi postęp w rozwoju tamtejszych organizacyj, a przedewszystkiem zapał dla sprawy polskiej i nadzwyczajna jedność dążeń. Z wyjątkiem niezbyt licznego odłam t. z. „Koniowców", stojących po stronie państw centralnych, zwolenników polityki legjonowej i Piłsudskiego, naogół socjalistów, całe społeczeństwo polskie w Ameryce stało z nami pod hasłem zjednoczenia Polski, a przedewszystkiem walki o zabór pruski, o dostęp do morza, o Gdańsk... Miałem przed oczyma wielką i zorganizowaną siłę i widziałem, że jest to armja, z którą można coś wygrać. Ludzie, którzy tą ormją dowodzili z prezesem Wydziału Narodowego, Janem Smulskim, człowiekiem wielkiej zasługi na czele, szli całkowicie oddani sprawie, gotowi do wszelkich wysiłków. Ze Smulskim i z jego kolegami z Wydziału zaczęliśmy kreślić plan akcji w Ameryce, do której przywiązywałem wielką wagę. Chodziło mi o zmobilizowanie Polaków we wszystkich środowiskach Ameryki, o publiczne zamanifestowanie ich dążeń w sprawie polskiej, o oddziałanie tą drogą na opinję amerykańską".

Najtrudniejszym momentem pracy Dmowskiego w Ameryce było naprawienie pełnomocnictw, danych przez rząd delegacji na Konferencji House'a, z Lordem, jako szefem sekcji polskiej. Sekcja ta otrzymała instrukcję, ażeby się ziemiami zaboru pruskiego wcale nie interesowała. Sądzono bowiem w Ameryce, że na Konferencji do sprawy rewindykowania ziem zaboru pruskiego wcale nie dojdzie. Dziełem Smulskiego i Wydziału Narodowego były wiece we wszystkich punktach Stanów przeciwko temu protestujące przez manifestacyjne żądanie przyłączenia Poznańskiego, Śląska i Pomorza. To i pomoc prasy, szczęśliwie pozyskana, wywarło swój skutek. Instrukcję zmieniono. Opracowano zaraz mapę pogranicza niemiecko-polskiego. Wykonał ją drugi poznańczyk, prof. Zwierzchowski.

Przypominamy te czasy, bo one wysoko podniosły postać Smulskiego, że stała się widna Polsce i pamiętna na pokolenia. Krew dobra grała w tym człowieku. Jako prezes wielkiego banku w Chicago narażał się znacznemu odłamowi kapitalistów, uprawiających politykę progermańską, potężnym zrzeszeniom żydowskim i niemieckim, operującym w Chicago. Śp. Smulski spełniał obowiązek — rzec można — w sposób bohaterski. Mało komu w tym stopniu należało się komandorstwo orderu *Polonia restituta.* Otrzymał je, gdy warunki w kraju na to pozwalały.

Po wojnie śp. Smulski z powodu stanu zdrowia, a zwłaszcza odpowiedzialnych zajęć bankowych usunął się od działalności publicznej i zacichł. Ale wielu miał wrogów, co nam łatwo wyobrazić sobie według stosunków w kraju, gdzie przecież wszyscy powinni być zadowoleni z obrotu sprawy polskiej na Konferencji pokojowej. Śp. Smulski miał przeciwników w potężnych organizacjach kapitalistów, odrabiających teraz w Ameryce pozycję niemiecką, zachwianą w czasie wojny. Wiedzieliśmy, że pozostaje w ciężkich warunkach, wymagających wielkiej pracy i czujności. Ale kto znał jego hart ducha, kto znał dobre warunki jego życia prywatnego i pomyślny stan interesów finansowych, ten nie może zrozumieć, co mogłoby spowodować taką tragiczną decyzję.

Cokolwiek nam przyniosą dalsze wyjaśnienia — stało się. Zeszedł ze świata jeden z najbardziej zasłużonych Polaków. Ze czcią zachowajmy jego imię dla potomności, łącząc z niem we wdzięcznej pamięci patrjotyczne czyny, godne prawego syna wielkiej Ojczyzny.

[3]) Henryk Rzewuski: „Pamiątki Soplicy" (Kraków 1928), str. 8 — 9.

[4]) Paweł Popiel: „Pisma", I, 133.

SZAŁ GLORYFIKACJI

W PRASIE lewicowej ukazał się ni stąd ni zowąd komunikat tej treści:

„Celem wprowadzenia w życie projektu budowy pomnika Stefana Żeromskiego w Warszawie, powstała komisja organizacyjna, do której wchodzą pp. J. Kaden-Bandrowski, Z. Kamiński, St. Krzywoszewski, J. Lechoń, J. Lorentowicz J. Mortkowicz, A. Nagórski, B. Rogaczewski, Wł. Skoczylas, L. Staff, A. Strug, M. Szerer i T. Tomaszewski. Obecnie tworzy się komitet budowy pomnika".

Przy jakimże to stole rodzą się takie pomysły? Największym autorytetem w powyższym zespole jest p. Strug, więc pewno przy jego stole. Żaden z literatów w tem towarzystwie nie pomyślał o tem, że bliżej im powinno być do pióra, niż do kielni. Nieprzyzwoitością jest angażować społeczeństwo do stawiania pomnika murowanego, zanim krytyka literacka uzasadni logikę tego przedsięwzięcia z pominięciem pomników już dawno uzasadnionych. Jeżeli mowa o Warszawie, to niema w niej pomnika: Kochanowskiego, Krasickiego, Słowackiego, Krasińskiego, Sienkiewicza, Prusa, Kasprowicza — że tylko tych kilka nazwisk przytoczymy.

Zapewne p. Strug przy swoich wpływach może nie dbać o to, czy społeczeństwo pośpieszy na ten cel ze składkami. Pieniedzy publicznych teraz wbród do dyspozycji; na pełnomocnictwa opinji można nie czekać. Ale rzeczona wyżej nieprzyzwoitość polega na tem, że łatwiej dzisiaj literatom gospodarować w funduszach publicznych, niż w swoim zawodzie. Gwałtowni entuzjaści pomników nie zdobyli się dotąd ani na jedną monografję krytyczną o pisarzu, a biorą się już do kielni.

Wypadałoby wprzód położyć fundamenty literackie.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Po wyborach. — Polityka Klubu Narodowego. — Kandydatury na Marszałka Sejmu. — Cenzura p. Calondera.

OKRES pomiędzy wyborami a pierwszem posiedzeniem nowego Sejmu stał się, jak łatwo można było przewidywać, okresem ożywionych prac przygotowawczych: poszczególne stronnictwa i grupy musiały dokładniej określić swe stanowisko wobec zmienionego wskutek wyborów położenia politycznego, ustalić nanowo swą taktykę, nakreślić plan przyszłej działalności parlamentarnej. Wyraźnie zupełnie zarysowuje się plan przyszłych prac „Klubu Narodowego", utworzonego przez posłów i senatorów, wybranych z listy Nr. 24. Jako klub zbyt słaby liczebnie, aby mógł dążyć do wytworzenia w Izbach prawodawczych większości, zgodnej choćby w najogólniejszych zarysach z jego programem, jest on jednocześnie uwolniony od konieczności zawierania jakichkolwiek układów i kompromisów, może prowadzić niezależną od jakichkolwiek ubocznych względów politykę zasad, a tem samem organizować w imię tej polityki szerokie kręgi niezależnej opinji narodowej. Są jednakże stronictwa, co znalazły się w położeniu naprawdę kłopotliwem, jak np. stronnictwo Chrześcijańskiej Demokracji, którego członkowie kandydowali na czterech zwalczających się listach, w imię różnych zupełnie programów, poczynając od bezwzględnej „współpracy z Rządem" aż do zdecydowanej opozycji. Przyszłość najbliższa okaże, jakie będzie oblicze ideowe tych nielicznych obecnie ugrupowań „centrowych", co jak Chrz. Dem. i P. S. L. „Piast" odgrywały tak wydatną rolę w obu poprzednich Sejmach.

Jak się zdaje, rząd zamierza stosować wobec Sejmu politykę „silnej ręki", oczekując nawzajem pełnej ufności i zupełnego oddania „współpracy". Dbałość swą o należyte funkcjonowanie Izb prawodawczych posunął prezes Rady Ministrów tak daleko, że zatroszczył się nawet o wyszukanie kandydata na Marszałka Sejmu, proponując na to stanowisko obecnego wiceprezesa Rady Ministrów p. Kazimierza Bartla. Kandydaturę posła Ignacego Daszyńskiego na Marszałka Sejmu wysuwają socjaliści, przed dwoma laty naczynniejsi uczestnicy zbrojnego zamachu celem obalenia „sejmowładztwa", obecnia obrońcy parlamentaryzmu.

„Silną rękę" rządów oceniają jednakże społeczeństwa nietyle na podstawie stosunku władz do własnych obywateli, ile na zasadzie ich twardego, nieustępliwego stanowiska wobec zagranicy. Nic też bardziej godnego politowania, niż widok rządu, po dyktatorsku buńczucznego wobec opozycji wewnątrz kraju, a jednocześnie gładkiego, układnego, zawsze gotowego do ustepstw wobec obcych potencyj. Rząd marsz. Piłsudskiego ma obecnie piękną sposobność do okazania „silnej ręki" w stosunkach międzynarodowych, a to z okazji niesłychanego wystąpienia prezesa t. zw. „komisji mieszanej" na Górnym Śląsku, p. Calondera, który uznał za właściwe wydać opinję, iż władze polskie winny w polskich szkołach na Górnym Śląsku zakazać śpiewania „Roty" Konopnickiej, ponieważ pieśń ta „mogłaby ranić uczucia narodowe" mniejszości niemieckiej! P. Calonder, Szwajcar, korzystający z gościnności polskiej, jeżeli natychmiast nie zostanie należycie pouczony o granicach swych kompetencyj, może studja swe nad dziełami literatury polskiej „raniącemi uczucia mniejszości" posunąć dalej, a wówczas na indeksie znajdą się zapewne: „Proporzec" Kochanowskiego, „Konrad Wallenrod", „Grażyna", „Placówka", „Krzyżacy"... Trudno przewidzieć jak daleko doprowadzą dążenia do narzucania nam obcej kurateli... Niema chyba umysłów bardziej ekskluzywnych, ciasnych, naiwnie przekonanych o swej „wyższości", a tem samem całkowicie niezdolnych do tolerowania odmiennych poglądów i stanowisk, jak właśnie typ umysłowości liberalno-masońskiej, gdzie byle funkcjonarjusz Ligi Narodów uważa się za tak wysoki autorytet moralny, że czuje się powołany do dawania „bezstronnych" wskazań i pouczeń rządom i narodom.

Społeczeństwo polskie oczekuje, że rząd polski nie cofnie się przed najbardziej stanowczą obroną zasady, iż nikt obcy nie ma prawa wglądać, jakie pieśni śpiewane są przez polskie dzieci w polskich szkołach na terytorjum niepodległego, suwerennego Państwa Polskiego.

J. R.

NAUKA I LITERATURA

GDAŃSK

WYBRZEŻE Bałyku i Gdańsk mają silny urok dla każdego Polaka. Kto ze wzgórz Radłowskich lub z Oksywia wpatrywał się w rysującą się na horyzoncie smugę półwyspu Helskiego, kto z Rozewia, z Pilic, czy z Karwi widział bezmiar Wielkiego Morza, kto się przechadzał po uliczkach starego Gdańska, ten zawsze tęsknić będzie do wybrzeża polskiego i do miasta, które trzyma od wieków straż u ujścia Wisły.

Każdy z nas rozumie znaczenie polityczne i gospodarcze wolnego dostępu do morza, lecz trzeba to polskie morze zobaczyć, żeby rozbudziły się w Polaku uczucia przywiązania do niego, by złączyły go raz na zawsze z morzem nici nierozerwalne. Siłę tych uczuć

wzmódz i zrobić je w Polsce powszechnemi może obcowanie z morzem wielkich ilości Polaków, oraz literatura i sztuka polska, jeśli się do morza zbliży i niem zajmie. Artyści, ci co mocniej czują i dalej widzą, muszą być pośrednikami między duszą polską a pięknem wybrzeża morskiego i głębokiem zrozumieniem jego dla Polski znaczenia. Jednym z warunków pokochania czegoś jest rozumienie. Ażeby sobie zdać sprawę z własnych uczuć i przeżyć wobec morza, trzeba je znać. Polak musi znać dzieje stosunku swego narodu do zagadnienia morskiego, musi znać przeszłość krainy nadmorskiej, jej przyrodę, jej mieszkańców... Tylko wówczas potrafi sobie wytłumaczyć urok, jaki niesie mu wiatr od morza, a uczucie instynktownego zachwytu zamieni się w świadome i rozumne przywiązanie.

Tej wiedzy o Pomorzu i Gdańsku szukać musimy w książkach. Niestety literatura nasza w tym zakresie jest jeszcze bardzo uboga. Dlatego to z radością wprost trzeba witać każdą nową pracę z tej dziedziny. Ostatni rok przyniósł nam trzy użyteczne książki: „Zagadnienie dostępu Polski do morza" Henryka Bagińskiego, „Pomorze i ziemia Chełmińska w przeszłości", prącę zbiorową wydaną nakładem Tow. Miłośników Historji w Poznaniu, wreszcie „Gdańsk", rzecz również będącą pracą zbiorową, ułożoną pod redakcją prof. Stanisława Kutrzeby*) Na tę ostatnią książkę pragniemy zwrócić uwagę w notatce niniejszej.

Prof. Kutrzeba zgromadził zastęp poważnych współpracowników: o terytorjum Gdańska pisze prof. Pawłowski, o jego pradziejach—prof. Kostrzewski, o historji—p. Roman Lutman, o dziejach handlu gdańskiego oraz o obecnem położeniu prawnem Wolnego Miasta — prof. Kutrzeba, o życiu gospodarczem współczesnem — p. Alfred Siebeneichen, o sztuce i przemyśle artystycznym Gdańska — ks. Tadeusz Kruszyński, o literaturze—prof. Tadeusz Grabowski, monetach i medelach — p. Marjan Gumowski. Książka jest opatrzona licznemi ilustracjami i posiada piękną szatę zewnętrzną.

Otrzymaliśmy nareszcie poważne i na samodzielnych studjach oparte dzieje Gdańska, w których nas szczególnie interesuje stosunek miasta do Polski, bo i w czasach teraźniejszych, mimo zmienionych warunków, tradycje idące z przeszłości dużą odgrywają rolę. Czytając dzieje miasta, które nie bez pewnej słuszności nazywano Wenecją północy, widzimy jak jego rozwój, powodzenia i bogactwo było w ścisłej zależności od współżycia z Polską. Dane przytoczone przez prof. Kutrzebę a dotyczące ruchu handlowego i okrętowego w porcie gdańskim prawdę powyższą uwydatniają bardzo dobitnie.

Wobec wyczerpania książki ks. Kruszyńskiego p.t. „Stary Gdańsk", jego nowe opracowanie tego samego tematu jest jedynem bodaj źródłem polskiem, z którego można zaczerpnąć wiadomości o skarbach sztuki, jakie są nagromadzone w Gdańsku. Zwłaszcza architektura starego Gdańska budzi zainteresowanie, nietylko przez to, że jest piękna, lecz także dla swego częstokroć pokrewieństwa z architekturą kościołów, gmachów publicznych i domów prywatnych w dawnych miastach polskich.

„Gdańsk" jest niezbędną książką podręczną dla polityka i publicysty. Nie obejdzie się bez niej ten, kto jedzie na wybrzeże polskie, a nie chce przejść wobec nagromadzonych nad morzem polskiem piękności z zamkniętemi oczami. W rękach każdego z tych pielgrzymów, którzy z nastaniem lata będą dążyli przez Gdańsk do Orłowa, Gdyni, Wielkiej Wsi, na Hel, do Pilic, do Karwi... powinno się znaleźć dzieło wydane przez prof. Kutrzebę.

S. K.

*) Gdańsk. Przeszłość i teraźniejszość. Praca zbiorowa pod redakcją Stanisława Kutrzeby. Z mapą, 180 rycinami i 10 tabl. Lwów 1928. Zakład Nar. im. Ossolińskich.

RADZIWIŁŁOWIE

PRZED wojną Radziwiłłowie tylko nurtowali w Polsce i na powierzchni pływali w Niemczech. Sympatje i związki rodzinne z prusactwem pozwoliły im wynurzyć się między nami podczas najazdu niemieckiego, ale pogrom przyjaciół i krewniaków nie pozwolił im za nimi pociągnąć i pozostawił ich na naszym gruncie. Zbyt wielkie posiadali w przeszłości znaczenie i w teraźniejszości majątki, ażeby im trudno było odzyskać wybitne stanowisko w kraju, zwłaszcza przy pomocy mocnych sprzymierzeńców. Janusz Radziwiłł stał się pestką konserwatywnej śliwki, złożonej wyborcom na tacy rządowej obok owoców radykalizmu i żydostwa. Słowem Radziwiłłowie tak się nasunęli znowu uwadze społeczeństwa, że p. K. Bartoszewicz uznał za właściwe opowiedzić ich historję w świeżo wydanej monografji.[1])

W familji starej i rozrodzonej, musiały się znaleźć okazy rozmaite. Byli w niej mężni rycerze, więc Mikołaj Rudy, brat Barbary odznaczył się w wojnie z Moskwą, Krzysztof Mikołaj (Piorun) za Batorego w wyprawie inflanckiej, Dominik w armji Napoleona, Michał w powstaniu Listopadowem i inni.

Byli kalwini i zagorzali katolicy. Stanisław kazał służącym smagać się bezlitośnie za najmniejszą przewinę. Wreszcie wymyślił skrzynię, w której krył się cały, wystawiając tylko obnażone plecy, które chłostał wyznaczony do tego dworzanin.

Byli szaleńcy, dziwacy, rozpustnicy. Marcin (XVIIIw.) trzymał harem z poddanek i dziewcząt kupionych, a dworzanie księcia składali się z żydów, na czele których stał główny powiernik Szymon. Hieronim (XVIII w.) urządził więzienie, w którem zamykał nie tylko poddanych, ale oporną szlachtę. Lubił się przysłuchiwać jękom ofar i nazywał jeńców ,,najlepszymi śpiewakami, jakich miał na dworze". Bicia, wieszania, rozstrzeliwania należały u niego do wypadków zwyczajnych. Udalryk (XVIII w.) kazał wymalować popiersie pięknej kobiety: całemi dniami siadywał przed nią i wygrywał czułe melodje na flotrowersie.

Byli wreszcie zdrajcy. Najsławnieszy między nimi (upamiętniony w powieści przez Sienkiewicza) sojusznik K. Gustawa w napadzie Szwedów. Zdolny wojak, zuchwały, wyzuty z polskości, ciężył stale ku cudzoziemcom. W pewnej awanturze krzyczał: „Przyjdzie czas, kiedy Polacy (na Litwie) do drzwi nie trafią i przez okna ich wyrzucać budziemy". Starając się o miejsce w radzie Rzeszy, pisał do cesarza, że pragnie ,,w przyrodzonej skłonnści zbliżyć się do niemieckiego państwa i usługami wiernemi spokrewnić się miłością i związkami". Wynaturzeńcem politycznym był również Bogusław (XVII w.), który sprzymierzał się ze Szwedami i Niemcami. Słynny kłamca, pijak, awanturnik i rozrzutnik Karol Panie Kochanku umiał także dla odzyskania majątku korzyć się przed Katarzyną. Historja tego narwańca najlepiej okazuje, jak hojnie los sypał zaszczyty i dary Radziwiłom. W 5 roku życia otrzymał order św. Huberta, 10 — obrany został posłem na sejm z pow. oszmiańskiego, w 13 — marszałkiem sejmiku wileńskiego, w 16 — deputatem na Trybunał Wileński, w 17 — pułkownikiem, w 18 — podczaszym, później ministrem, a po śmierci ojca wojewodą wileńskim.

Wogóle Radziwiłłowie górowali w arystokracji polskiej tylko majątkiem i związkami rodzinnemi, sięgajęcemi do tronów. Nie ma wśód nich ani jednej postaci genjuszu, zasługi i chwały, a nawet wielkiego uroku, bo w nowszem

[1]) Kazimierz Bartoszewicz. Radziwiłłowie. Kraków 1928. Księg. J. Czarneckiego, str. 320.

oświetleniu wystąpiły skazy na charakterze jedynie upoetyzowanej Barbary. Jeżeli nie byli litwinami, to pragnęli być cudzoziemcami, najmniej Polakami. To też w ostatnim okresie tragedji Polski niepodległej, kiedy wtzystkie rody możnowładcze odegrały jakieś role, Radziwiłłowie nie odegrali żadnej. Przynajmniej trzecia (pruska) część łupu rozbiorowego nie sprawiła im smutku. Dostała się przyjaciołom i krewniakom.

A. Ś.

O BALMONCIE I JEGO PRZEKŁADACH KASPROWICZA

CUDZOZIEMIEC, któryby się pokusił o tłumaczenie poezyj Kasprowicza, nie lada ma współzawodników. Tłumaczyła „Hymny" liryczna poetka bułgarska Dora Gabe Penewa. Przekładali na włoski Damiani i prof. Pavolini, znawca i miłośnik literatury polskiej. Na rosyjski Leński, na niemiecki Przybyszewski, który, jak wiadomo, zyskał w Niemczech sławę swemi pierwszemi utworami, pisanemi po niemiecku, a jako stylista, wedle tamtejszej krytyki, zbogacił mowę niemiecką nowemi melodjami.

Jak różną być może wartość przekładów, czy tłumacz oddaje utwór obcego pisarza w sposób wierny i godny, nie byłoby się nad czem rozwodzić. Są przekłady—arcydzieła: Jana i Piotra Kochanowskich, Andrzeja Morsztyna, Słowackiego, a w naszych czasach Józefa Jedlicza słynny przekład „Ptaków" Arystofanesa. A są i kryminalne ohydy, jak ten, obok niestety wielu mu podobnych, przekład z angielskiego powieści Wellsa „Piotr i Janka", przez współpracowniczkę krakowskiego dziennika „Czas". Powieść Wellsa została przez tłnmaczkę do połowy bezsensownie skrócona i przerobiona. Ideologja autora uległa w przekładzie całkowitej zmianie.

W takiej to karykaturze przekładu ukazywany bywa niejeden autor. Więc cieszyć się nam trzeba gdy stało się, że dzieła naszej literatury, dzieła Kasprowicza, ukazały się w innym języku, w przekładzie nie tylko uczciwym, ale w swoistym swym blasku, krasie i majestacie. Pisze o tem Stanisław Pazurkiewicz w szkicu literackim, wydanym nakładem księgarni A. Gmachowskiego, pod tytułem „Konstanty Balmont". W szkicu tym mówi o przekładach dzieł Kasprowicza, dokonanych przez Balmonta, najświetniejszego dziś poetę dawnej Rosji i entuzjastę twórczości Kasprowicza.

Praca nad temi przekładami wynikła u Balmonta z zaciekawienia polską poezją romantyczną i z jej serdecznego umiłowania. Uczuciom swym dał wyraz w powieści „Pod nowym sierpem księżyca", w której djalogi fikcyjnych osób mówią o Mickiewiczu i Słowackim. A prócz tego o polskiej poezji ogłosił szereg komentarzy porównawczych.

Dotychczas często z niechęcią, a niejednokrotnie i zjadem nienawiści odzywali się pisarze rosyjscy o Polsce. Zdawało się, że czysty, szlachetny głos poety Rylejewa na zawsze w stosunku do Polski pozostanie odosobniony. Balmont czuł inaczej, bo literaturę polską znał. Czytał Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i wżył się w sfery ich wzruszeń i natchnień. Zaważyło to na całem jego dalszem życiu. Za ogłoszenie przekłada fragmentu „Dziadów", słów Konrada „Pieśń ma była już w grobie, już chłodna..." wytoczono mu śledztwo, z pod którego grozy zbiegł z kraju do Paryża, na emigrację. W atmosferze Rosji, w metodach despotyzmu, od ery Mikołaja I-go aż po koniec rządów jego prawnuka Mikołaja II-go, nie wiele się zmieniło. Nawet wydawca przekładów Balmonta w Petersburgu został wtedy z powodu tych przekładów oskarżony o zbrodnię przeciw władzy cara, skazany i osadzony w twierdzy petropawłowskiej.

Przymusowy wyjazd z kraju spowodował, że poeta zaczął podróżować. Podróżował całemi latami. Zwiedził pół świata. Poznał wiele obcych kultur i tłumaczył.

„Tłumaczenia Balmonta" — pisze Pazurkiewicz,— „obejmują bardzo liczny szereg utworów, należących do wielu literatur. Pod tym względem wszechstronność jego jest wprost zadziwiająca i wyklucza wszelkie współzawodnictwo". W książkach „Echa starożytności" i „Z poezji świata" ogłosił przekłady z dzieł poetyckich Egiptu, Babilonu, Asyrji, Indji, Japonji. Przekładał poetów angielskich, włoskich, hiszpańskich, skandynawskich, amerykańskich, nawet gruzińskich. Poliglota, jak u nas Antoni Lange, jak on jest też pracowitym heroldem cudzej sławy. Urok polskiej poezji romantycznej rozświetlił i wstrząsnął jego duszę już w jej przedświcie. Już w dzieciństwie wsłuchiwał się z dziecięcą ciekawością i zadumą, w muzykę chorału „Z dymem pożarów", gdy matka jego grała ten chorał na fortepianie. Później po przeczytaniu w przekładzie Lebiediewa „Nieboskiej Komedji" Krasińskiego, zaczął się uczyć po polsku. A z jaką to czynił miłością, świadczą jego słowa, gdy już swobodnie rozczytywał się w utworach wielkiej trójcy poetów. „Na dziełach Słowackiego", — powiada, — „poznałem tak dobrze język polski, że odzywa się we mnie jak głos ojczysty". W studjach i szkicach krytycznych, wydanych pod tytułem „Odblaski morza", mówi o polskiej poezji ze szczerem odczuciem i umiejętnie. Rozwija poglądy wygłoszone dawniej w odczycie pod tytułem „Flety z kości ludzkich". Sam już tytuł ten odczytu o polskiej poezji romantycznej wskazuje, że Balmont wczuł się w „bólów ból", z którego jej twórczość się poczęła. Miał więc, jak nikt inny, prawo przekładu.

Z utworów Kasprowicza najpierw przełożył tragedję „Uczta Herodjady" i hymn „Moja pieśń wieczorna", poczem przełożył szereg poezyj zawartych w tomach „Chwile" i „Krzak dzikiej róży", a wreszcie najpóźniejsze dzieła poety, „Księgę ubogich" i „Mój świat". O tych dwóch ostatnich wyraził się, że w nich Kasprowicz „występuje jako najgłębiej zjednoczony z duszą wszechświata, pogodzony, ukołysany niejako, ucałowany przez Boga. Z tych ksiąg wychodzi on tem, czem był zawsze i co mnie najsilniej w nim ujmowało, — człowiekiem, wyrastającym z najtajniejszych głębin ziemi, zarazem arystokratą ducha i wieśniakiem, synem wsi".

Dr. Pazurkiewicz w rozprawie swej zestawia w doskonałych proporcjach poglądy Balmonta, wyrażone w książkach i prywatnej korespondencji. Ukazuje jego myśli i drogi, po których szły jego odczucia człowieka i przyrody i daje artystycznie wycieniowany portret literacki, o suggestywnej bezpośredniości „portretów literackich" Zdzisława Dębickiego. Uwydatnia też wyjątkowo sympatyczną skłonność rosyjskiego poety do poezji polskiej, a do poezji Kasprowicza w szczególności.

ANTONI WYSOCKI

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Dn. 17 b. m. Uniwersytet Warszawski święcił uroczyście trzydziestolecie pracy naukowej znakomitego uczonego, wsławionego przedewszystkiem badaniami w dziedzinie anatomji porównawczej, prof. dr. Jana Tura. Obchód jubileuszowy rozpoczęło serdeczne przemówienie prof. Leona Kryńskiego oraz odczytanie adresu jubileuszowego, poczem prof. Roszkowski zobrazował zasługi naukowe Jubilata, uwieńczone znakomitem dziełem „O potworności podwójnej", przypominając również jego pracę w dziedzinie organizacji nauk i oraz szerzenia zamiłowania do nauki w społeczeństwie, czego dowodem działalność w Towrzystwie Naukowem, organizacja kursów naukowych oraz cenna książka „Nauka i uczony". Z kolei przemawiali: ks. rektor Szlagowski oraz profesorowie: Sierpiński, Mazurkiewicz, Hirschler, Czeka-

nowski, Wóycicki, Baehr i Mokrzecki. Liczne instytucje naukowe i uczeni polscy i zagraniczni nadesłali depesze gratulacyjne.

Wzruszające były objawy szacunku i przywiązania, jakie prof. Tur potrafił zdobyć sobie wśród młodego pokolenia swych wychowańców. Młodzież akademicka ofiarowała Jubilatowi w upominku złoty pierścień, serdeczne przemówienia wygłosili: b. uczennica prof. Tura p. Majkowska i p. Janusz Rabski.

Prof. Jan Tur jest nietylko znakomitym uczonym, ale jako typ człowieka pełnego nie stroni od życia politycznego, a jako publicysta posiada zwyczaj odważnie wypowiadać swe zdanie, odznaczające się zawsze niezwykłą jasnością i trafnością sądu. „Myśl Narodowa", która ma zaszczyt zaliczać prof. Jana Tura do grona swych współpracowników, przyłącza się do wszystkich najserdeczniejszych życzeń, składanych Mu z okazji trzydziestolecia Jego pracy. *Ad multos annos!...*

*

Związek Akademij całego świata (*Union Académique Internationale)* zainicjował wydanie przez Akademje reprodukcyj wszystkich znanych waz starożytnych z całego obszaru ziem, leżących nad morzem Śródziemnem, a więc: egipskich, palestyńskich, fenickich, syryjskich, małoazjatyckich, greckich, etruskich, italsk:ch i t. d. Akademje poszczególnych krajów wydają zeszyty tej publikacji, noszącej nazwę: „*Vases antiques*", a zawierające reprodukcje waz, znajdujących się w danem państwie. Obecnie przystępuje także Polska Akademja Umiejętności do takiego wydania reprodukcyj waz, w Polsce się znajdujących. Z gorącą prośbą zwraca się ona do wszystkich posiadaczy takich waz oraz zarządzających zbiorami, w których są takie wazy, o przesłanie do niej (Kraków, Sławkowska 17) wiadomości o takich wazach z podaniem, o ile możności, ilości okazów oraz ich rodzajów, by następnie mogły być przez jej wysłannika na miejscu opisane i sfotografowane dla tego pięknego wydawnictwa.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Radosne, krzepiące wrażenia pozostawił Recital Poetycki, urządzony staraniem redakcji „Akademika Polskiego" w Auli Uniwersytetu Warszawskiego dn. 20 marca r. b. Wiele, rzecz zrozumiała, było błędów, niedociągnięć, widocznej nieporadności wykonawców, widocznego niedoświadczenia organizatorów, — mimo wszystko odczuwało się najsilniej świeżą, rzeźwą atmosferę młodości, wiary we własne siły, bezinteresownego entuzjazmu dla poezji.

Recital rozpoczął słowem wstępnem p. W. J. Chwalewik, przeciwstawiając sztukę, jako wyraz psychiki indywidualnej i narodowej, panującemu dzisiaj w świecie zamiłowaniu do szablonów, dzięki któremu smak osobisty jednostki zagłuszany jest nakazami mody międzynarodowej, upodobania narzucane są masom przy pomocy reklamy, a tem samem stają się coraz płytsze, coraz bardziej powierzchowne i bezduszne.

Program recitalu nie był pokazem jakiejś jednej poetyckiej grupy czy szkoły. Obejmował on zarówno utwory poetów znanych, zajmujących przodujące stanowisko w dzisiejszej literaturze (St. Miłaszewski, K. H. Rostworowski, E. Zegadłowicz i inni), jak i poetów najmłodszych, studjujących jeszcze na wyższych uczelniach i stawiających dopiero pierwsze kroki na drodze twórczości poetyckiej. Tutaj właśnie zareprezentował się szereg talentów niewątpliwych, jak pełen prostoty i siły wyrazu Ciesielczuk (znakomite wiersze „Wigilja" i „Biel"), uroczysty, świetnie władający polszczyzną Janusz Kawecki, wytworny Tadeusz Horzelski (doskonałe „Lato" i „Hippodrom w słońcu"), subtelny M. Ochorowicz oraz T. B. Syga, którego powagi pełna „Pieśń o nieznanym żołnierzu", wygłoszona z towarzyszeniem chóru przez p. Z. Tomaszewskiego, tak silne wywarła wrażenie, że musiała być na żądanie słuchaczy powtórzona.

P. Tomaszewski, utalentowany recytator, wystąpił jednocześnie na recitalu jako poeta, niewątpliwie uzdolniony (dowodem bardzo dobry wiersz „Huta"), lecz czasem grzeszący rozwlekłością, której także nie ustrzegli się niekiedy Syga, Sawicki, Horzelski i inni. Zresztą wiersze poetów najmłodszych, wygłoszone na recitalu, są w całem tego słowa znaczeniu tylko pierwszemi próbami, są one zapowiedziami jedynie, ale zapowiedziami budzącemi nadzieję na przyszłość.

Na wspomnienie zasługuje doskonały pod względem graficznym „Program", ze świetnie skomponowaną winietą tytułową.

*

Na konkursie dramatycznym teatru Wielkiego we Lwowie, ogłoszonym przez magistrat nagrodzeni zostali: 1 Maciej Szukiewicz za sztukę „Popieluch" (5000 zł.), 2. Władysław Kozicki za więto kos" (3000. zł. i 3) Stan. Szpotański za dramat historyczny p. t. „Batory".

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Ukazał się w handlu księgarskim wykończony już przez autora w r. 1926 — drugi tom „Historji chłopów polskich w zarysie" Aleksandra Świętochowskiego (Lwów—Poznań 1928, Nakładem Wydaw. Polskiego, str. 509). Pierwszy tom, wydany z datą 1925 r. zawarł dzieje chłopów w Polsce niepodległej, do rozbiorów. W tomie drugim autor opracował czasy rozbiorów od powstania Kościuszkowskiego do wojny, która nam dała niepodległość.

Podziwiać należy siłę umysłową autora, który potrafił bogaty materjał (parę tysięcy źródeł) historyczny i statystyczny tak opanować, że zarys jego, rozłożony na 16 rozdziałów, czytać można, jak ciekawą opowieść. Bohaterem jej jest lud polski. Wiek dziewiętnasty w stosunku do poprzednich był okresem w życiu ludu znaczenie żywszym, pełnym doniosłych reform i ruchów niepozbawionych dramatycznego napięcia. Świętochowski pragnął w swej pracy odpowiedzieć na pytanie: „jak górne warstwy społeczeństwa zachowywały się względem upośledzonej i skrzywdzonej dolnej oraz jak ta dolna posuwała się na wyższy poziom gospodarczy" — i społeczny. Całość dzieła w dwu tomach jest zjawiskiem w literaturze niezwykłego znaczenia nie tylko naukowego, ale zarazem moralnego. Wielki pisarz w wieku sędziwym złożył w tem dziele daninę na rzecz myśli narodowej. Ta myśl, żeby miała moc twórczą, musi uświadomić sobie stosunek swój do żywiołu, reprezentującego instynkt życia narodowego i jego siłę. Świętochowski uwieńczył dzieło swego żywota pisarskiego tą pracą, godną jego intelektu i talentu, a przedewszystkiem jego wielkiego serca obywatelskiego.

*

Bogdan Suchodolski, autor niedawno wydanego t. I monografji o Goszczyńskim, oddający się studjom na polu socjologji i kultury, po powrocie z zagranicy złożył niejako sprawozdanie z badań swoich nad nowemi metodami, stosowanemi w pracach humanistycznych. Bardzo cenny ten referat wydał w osobnej książce, będącej odbitką z „Przeglądu Historycznego" (VI) pt. „Przebudowa podstaw nauk humanistycznych" (Lwów 1928. Zakład Nar. im. Ossolińskich). Suchodolski ograniczył się narazie zbadaniem literatury naukowej niemieckiej. która po wojnie, jak widać z przytoczonych przez niego prac, posiada długi szereg uczonych, zastanowiających się nad zjawiskiem świata ludzkiego.

Ta mnogość i głębokość zainteresowań w tym zakresie zdaje się wynikac z radości, że jednak z kataklizmu wojny ocalał świat ducha. Cywilizacja, z jednej strony tak zapamiętale niszczona przez rewolucję, z drugiej strony nabiera ceny, jako zagadnienie.

Suchodolski podzielił swój plon na trzy grupy: 1) wyniki badań nad teorją poznania świata humanistycznego, 2) nad teorją istoty i rozwoju świata hum., 3) nad metodą badań tego świata.

Charakterystycznym rysem nowych poglądów niemieckich na stosunek do zjawisk świata historyczno-psychicznego jest poniechanie psychologizmu i historyzmu, a wysunięcie na plan pierwszy samoistności życia idealnego, zawartego w dziełach ludzkich. Od filozofji i logiki rozszerza się ten prąd na etykę, estetykę, socjologję i naukę kultury. Świat twórczości ludzkiej jest psychiczny przez twórców, ale jest przedewszystkiem duchowy dzięki samoistnemu działaniu ducha zawartego w tworach, których życie idealne jest dłuższe niż życie jednostki psychicznej. Stąd nawrót de Hegla i kantyzmu i skłonność zastanawiania się nad istotą zjawisk zamiast nad ich genezą. Owe niemieckie poczynanie każdego badania od Adama i Ewy złożono do akt pozytywizmu. Aprioryczność i immanentność, sprzyjająca uniwersalizmowi, zdaje się brać górę.

Byłoby bardzo interesujące zestawienie tego ruchu niemieckiego z pracami w innych literaturach na zachodzie, a następnie z poglądami myślicieli polskich, które wiele mogłyby skorzystać z tamtych źródeł bez wstydzenia się zresztą swego „sarmatyzmu".

*

Ukazał się w Poznaniu nakładem autora tom I podręcznika „Historji kultury polskiej" prof. Stanisława Dobrzyckiego. Dzieło to było napisane na użytek encyklopedji polskiej, która ma się ukazać w języku francuskim w Szwajcarji. Autor uzyskał prawo wydania go wpierw po polsku. Żeby uczynić dzieje literatury naszej zrozumiałemi dla cudzoziemców, prof. Dobrzycki uwzględnił szeroko tło historyczne i polityczne życia Polski oraz jej ustroju państwowego. Tom pierwszy kończy się na rozbiorach, obejmuje 600 stron. Przejrzysty układ, jasny wykład, zdrowa myśl przewodnia, a w dodatku brak balastu bibljograficznego, z którym czytelnik przeciętny sobie nie radzi, czynią z tego dzieła doskonały podręcznik dla każdego Polaka. Trzeci to już podręcznik literatury polskiej zawdzięczamy pracy propagandowej naszych historyków. Prof. Brückner pisał historję literatury rosyjskiej i polskiej (1901) dla Niemców, przedtem Wł. Spasowicz historję literatury polskiej dla Rosjan (1880). Przełożył ją A. G. Bem. Niecierpliwie czekać będziemy tomu drugiego historji prof. Dobrzyckiego.

U SŁOWIAN

Główna oświatowa instytucja słowacka, *Matica Slovenská*, wydaje nader interesujące czasopismo p.t. *„Sbornik Matice Slovenskej“* (poświęcone kwestjom językoznawstwa, etnografji, historji i literatury). Ostatnio wyszedł drugi tom rocznika V za 1927 r. Znajdujemy tam m. in. ciekawe studjum S t e f a n a K r o m e r y k a: „Z rękopisów S. Chalupki“. Jeden z wybitniejszych poetów odrodzenia słowackiego S a m o C h a l u p k a był zarazem najgorętszym polonofilem. Osobiście wziął, mając lat 18 (żył 1812-1883) udział w powstaniu listopadowem, gdzie był raniony. Otóż pośród rękopisów po nim pozostałych znajduje się kilka utworów nam poświęconych. Kromeryk podaje utwory: *Jde svarná Pol'ska—Kosba — Malachowsky — Hrob na Tatre — Pol'ska*, głównie związane z powstaniem. Wiersz „Polska“ z r. 1833 tchnie tąż wiarą, co nasz hymn narodowy: „*Este Pol'ska nezhynula*“.

*

Bułgarja posiada kilka wysoko stojących czasopism literackich. Z pomiędzy nich zwłaszcza godny uwagi jest sofijski miesięcznik *Hiperion*. W zeszycie 9-10 za r. 1927 znajduje się tam interesujący artykuł o Przybyszewskim. Autor I w a n R a d o s ł a w o w przeprowadza paralelę między polskim pisarzem a Strindbergiem. Wyższość przyznaje bezwzględnie Przybyszewskiemu, wyrażając się o nim w superlatywach.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Trudno o ciekawszą nowinkę z ruchu literackiego w Anglji, niż wiadomość o jakiejś nowej książce R u d y a r d a K i p l i n g a. Od wielu już lat wielki ten twórca pisze mało, i ani porównać się może płodnością pisarską ze swoimi znakomitymi kolegami po piórze: Chestertonem, Bennettem, Wellsem, Galsworthym, Shawem etc., którzy co roku wydają po parę nowych tomów. Ale też nierównie więcej zwraca uwagi na samo rzemiosło literackie, nierównie staranniej szlifuje słowo. Styl Kiplingowski, niezwykle skondensowany, działający efektami skrótów i dysonansów, obficie zasilony słownictwem technicznem, odnajdziemy także w ostatniej książce autora „Zwodnego Światła“, choć nie należy ona do rodzaju beletrystyki. Składa się na ten tom wybór przemówień Kiplinga, wygłoszonych przy różnych okazjach, literackich lub politycznych, w latach 1906 — 1927. Jako poeta imperjalizmu (a w gruncie rzeczy nacjonalizmu) angielskiego, stał się Kipling nieurzędową osobą polityczną. Już sam bardzo obfity pierwiastek moralizatorsko — dydaktyczny w jego poezjach wskazywał, jak głęboko poeta (obwiniany przez radykałów o „płaskość“ i „antiintelektualizm“) przemyślał idee, za któremi orędował; ale nigdy — w przeciwieństwie do innych angielskich beletrystów — polityków — nie wykładał swych myśli w formie czysto publicystycznej. Zawsze wkładał je do poezji i beletrystyki. Jako publicysta występuje w literaturze dopiero teraz. Tytuł tej antologji, „Księga słów“ („*A Book of words*“ wyd. Macmillana, 1928, 6 szyl.)

Znajdujemy tu przemówienia do organizacyj rodaków w Kolonjach, do przedstawicieli zawodów (jak marynarze, lekarze), szereg przemówień, wygłoszonych we Francji, itd. W ostatnich znajduje wyraz frankofilizm polityczny autora. Wogóle zaś dominuje wiara w przyszłość imperjum i w zalety polityczne Anglika. Doktryna pracy i wysiłku przenika te wypowiedzenia się poety — imperjalisty. Lecz imperjalizm ten — jakeśmy już zauważyli — to właściwie najczystszej wody, niekiedy zbyt symplistyczny nawet (tak w poglądzie na sprawę irlandzką)—nacjonalizm.—Poglądy o Kiplingu, jako imperjaliście, wymagają też na naszym gruncie skorygowania. Nigdy przez myśl nawet nie przejdzie Kiplingowi np. niepojęta idea, żeby Anglję uważać za państwo narodowości. — Żarem entuzjazmu wybucha na myśl, że macierz angielska i rozrzucone za oceanami dominja stanowić mają jedno państwo narodowe, jedność cywilizacji angielskiej. — „Większa Brytanja“ Kiplinga, to „mała Anglja“ bez mniejszości, tylko rozszerzona geograficzne. — Upatrywanie w ideologji Kiplinga, imperjalizmu“, tak jak dziś się to słowo u nas w pewnyce kołach pojmuje, to albo czczy domysł, albo nieporozumienie. Nie, to poeta nacjonalizmu i Anglji mocarstwowej.

*

Dla tych, co przyglądali się szkole angielskiej poprzez opowiadania Kiplinga: „Stalky i Ska“, nieobojętna będzie wiadomość, że pierwowzór Stalky'ego generał Dunsterville, właśnie napisał wspomnienia (wyszły w Jonathana Cape p. t. „*Stalky's Reminiscences*“), gdzie mówi także o swoich czasach szkolnych.

NA MARGINESIE

Poseł z listy Nr. 1, p. Józef Targowski, w przemówieniu na „Obiedzie Przyjaciół „Czasu“, temi słowami scharakteryzował położenie, jakie wytworzyło się wskutek wyborów: „Zastanawiając się nad składem sejmu i senatu“ — mówił — „widzimy, że sprawy dużo lepiej przedstawiają się w senacie niż w sejmie. Senat ma już b e z m a ł a z d e c y d o w a n ą większość naprawdę państwowo-twórczą“.

Znakomicie! Wprawdzie jest, niestety, jedynie większość „bez mała“, ale jest to jednocześnie „większość zdecydowana“!...

*

Tygodnik „Dzwon“ przeznaczony dla demokratycznej inteligencji żydowskiej (redaktor: Jerzy Leinwandhändler) temi słowy rozpoczyna programowe oświadczenie „Od Redakcji“:

„Pismo nasze zrodziła potrzeba chwili. Szerokie rzesze żydowskiej inteligencji stały się już w i d o m y m i w s p ó ł t w ó r c a m i p o l s k i e j c y w i l i z a c j i... I oto ten potężny nurt powojennej rzeczywistości pragniemy skierować w olbrzymie łożysko, gdzie zbiegają się t e w s z y s t k i e s i ł y, „k t ó r e k s z t a ł t u j ą d z i ś ż y c i e w P o l s c e“.

Aby zaś sens tego programu był najzupełniej jasny, wystarczy wyjątek z pomieszczonego w tymże numerze artykułu „Wybory uczą“, temi słowy określającego znaczenia „dni majowych 1926 r.“:

„Przyzwyczajeni do swej niedoli politycznej i gospodarczej, postawieni poza nawiasem rzeczywistości polskiej, odgrodzeni bojkotem od szerszych widnokręgów — żydzi zobaczyli nagle, że rodzą się jakieś nowe możliwości“.

Istotnie, p. Leinwandhändler ma zupełną rację ogłaszając, że pismo „Dzwon“ zrodziła „potrzeba chwili“. Jest też pismo to symptomatem chwili, symptomatem niezwykle pouczającym.

*

...długo nie przyszedł; i mówiono w domu,
że nie wiedzieć gdzie zniknął, umknął pokryjomu.
Szuka rząd,—ale śladu dotąd nie wytropił.
Nakoniec powiedziano: zabił się, utopił.
Policyja dowodem stwierdziła domysły;
Znaleziono płaszcz jego nad brzegami Wisły.
Przyieziono płaszcz żonie; poznała: on zginął.
Trupa nie znaleziono — i tak rok przeminął.
Dlaczegoż on się zabił? Pytano, badano,
Żałowano, płakano: wreszcie — zapomniano.

To o ...Cichowskim („Dziady“, cz. III, sc. VII).

*

Zadziwiający nonsens wypisał niedawno w „Wiadomościch Literackich“ niejaki h., omawiając Józefa Birkanmajera przekład powieści Stevensona: „Porwany za młodu“. „Stevensen (czytamy w tej notatce) posiada cechę, którą nazwaćby można zneutralizowaniem moralnem“,.... „najcharakterystyczniejszy dla Stevensona immoralizm“..... „immoralizm ten występuje w całej twórczości Stevensona“.

Porozumiejmy się. Można rysy najwybitniejsze Stevensona —pisarza: kult zdrowia duchowego, miłość ojczyzny szkockiej, duch rycerski—można to wszystko, za co Stevenson jest w Anglji tak kochany, nazwać krótko immoralizmem.— Ale wtedy wypadnie nazwać krótko anonimowego h. krytykiem żydowskim — a przynajmniej zżydziałym duchowo.

BŁĘDY DRUKU

W zesz. 9 „Myśli Narodowej“ w artykule C. Norwida „Zarysy z Rzymu“ należy poprawić: w wierszu 8 ma być parlamentalna (nie-tarna), str. 104 szp. 2 w. 7 od końca tekstu znak zapytania ma być w nawiasie, a w komentarzu prof. Cywińskiego na str. 110 w w. 26 ma być „jest parem Francji“ (nie panem).

Upraszamy czytelników o wczesne odnowienie przedpłaty

NA KW. 2-gi.

Gdyby każdy z przyjaciół pisma przysporzył nam jednego choćby

ODBIORCĘ,

starczyłoby to na utrwalenie i udoskonalenie wydawnictwa ku pożytkowi wszystkich.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.
WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł.9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.
Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI
Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM